

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Stefan Żeromski

Opowiadania, Publicystyka

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

„Rozdzióbią nas kruki, wrony”

Ani jeden żywy promień nie zdołał przebić powodzi chmur, gnanych przez wichry. Skąpa jasność poranka rozmnożyła się po kryjomu, uwidoczniając krajobraz płaski, rozległy i zupełnie i pusty. Leciała ulewa deszczu, sypkiego jak ziarno. Wiatr krople jego w locie podrywał, niósł w kierunku ukośnym i ciskał o ziemię.

Ponura jesień zwarzyła już i wytruła w trawach i chwastach wszystko, co żyło. Obdarte z liści, szerniałe rokiciny żałośnie szumiały, zniżając pręty aż do samej ziemi. Kartofliska, ściernie, a szczególnie role świeżo uprawne i zasiane, rozmiękły na przepaściste bagna. Bure obłoki, podarte i rozczochrane, leciały szybko, prawie po powierzchniach tych pól obumarłych i przez deszcz schłostanych.

Właśnie o samym świcie Andrzej Borycki (bardziej znany pod przybranym nazwiskiem Szymona Winrycha) wyjechał zza pagórków rajgórskich i skierował się pod Nasielsk, na szerokie płaszczyny. Porzuciwszy zarośla, trzymał się przez czas pewien śladu polnej drożyny, gdy mu ta jednak zginęła w kałużach; ruszył wprost przed siebie, na poprzek zagonów.

Przez dwie noce już czuwał i trzeci dzień wciąż szedł przy wozie. Buty mu się w rzadkim błocie rozciapały tak misternie, że przyszwycy szły swoim porządkiem, podeszwy swoim porządkiem, a bosa stopy w zupełnym odosobnieniu. Bardzo przemókł i przeziął do szpiku kości. Któż by zdołał poznać w tym obdartusie byłego prezesa najweselszej pod księżycem konfraterni tak zwanych śrubstaków, dawnego Jędrka, króla i padyszacha syren warszawskich? Włosy mu porosły „w orle pióra”, paznokcie „w dzikie szpony”, chodził teraz w przepoconej sukmanie, żarł chciwie razowiec ze sperką i żłopał gorzałę z taką naiwnością, jakby to była woda sodowa z sokiem porzeczkowym.

Konie były głodne i zgonione tak dalece, że co pewien czas ustawały. Nic dziwnego: koła zarzynały się w błoto po szynkle, a na drabiniastym wozie pod trochę olszowego chrustu, siana i słomy leżało samych karabinków sztuk sześćdziesiąt i kilkanaście pałaszów, nie licząc broni drobniejszej. Były to wcale niezłe szkapy.: rosłe, podkasane, prawie chude, ale ze świetnej rasy pociągowej. Mogły jak nic robić dziesięć mil na dobę, byleby im pozwolić dobrze wytchnąć dwa razy i uczciwie je popasać. Konie należały do pewnego szlachetki z okolic Mławy. Stanowiły one znaczną część jego majątku, bo posiadał summa summarum trzy szkapy, jednakże pożyczał ich Winrychowi na każde zapotrzebowanie. Ten ostatni przychodził zazwyczaj późno w nocy, stukał do okna domostwa - wychodzili obydwaj z gospodarzem, wyprowadzali konie cichaczem, aby nie budzić parobka, wytaczali wóz i jazda! Letnią porą była to rzecz wcale łatwa - owa jazda. We dnie Winrych spał w gąszczach leśnych, a konie się pasły Teraz niepodobna było ani spać, ani popasać. Winrych liczył na to, że go ktoś zluzuje, zwłaszcza że najuciążliwsze posterunki i przeszkody szczęśliwie wyminał. Ale nie takie to już były czasy... Jeżeli kto jeszcze na tej ziemi walczył w całym i pełnym znaczeniu tego słowa, to on, Winrych. On jeden jeszcze chodził po broń, jeden nie upadał na duchu. Gdyby nie on, i sama partia byłaby się od dawna rozleciała na cztery strony świata. Przez długi czas tych ludzi ściganych, głodnych, przeziębłych i wylekzionych wspierał swymi szyderczymi półsłowami i podniecał jak chłostą. Teraz, gdy już wszystko runęło na łeb w bezdenną jamę trwogi,

on się, jak to mówią, zawziął. W miarę tego jak nie tylko do głębi nastrojów i sumień, ale do podstaw tak zwanej polityki rewolucyjnej wciskać się poczęta coraz bezczelniej i natarczywiej filozoficzna zasada: fratres! rapiamus, capiamus, fugiamusque - on czuł w sobie upór coraz zuchwalszy, coraz straszliwiej bolesny i już prawie szalony...

Gdy tak zmoknięty, głodny i bardzo znużony brnął przy wozie, poczęło, jakoby wraz z zimnem, wsiąkać w niego uczucie nędzy. W kieszeni nie miał już ani okruszyny chleba i ani kropli wódki we flaszcze. Dziurawe buty, absolutnie wzięte (jeżeli, notabene, był w nich milimetr rzemienia zasługujący na to, aby był absolutnie czy tam inaczej brany), nie mogły być przyczyną owego uczucia nędzy. Nie sam głód również i nie samo zimno je wywoływało. Ale po śladach, zostawionych na błocie przez te dziurawe buty, szła za Winrychem ironia spostrzeżeń, owa bieda okrutna, co nie waha się wtargnąć do miejsca świętego świętych, co odważnie, jak plugawy lichwiarz, bierze w szachrajską swą rękę bezcenne klejnoty ludzkiego ducha i drwi z ich wartości ubierając tę podłość w najlogiczniejsze sylogizmy.

- Wszystko przełajdaczone - szepce Winrych pogwizdując - przegrane nie tylko do ostatniej nitki, ale do ostatniego westchnienia wolnego. Teraz dopiero wyleci na świat strach o wielkich ślepiach, ze stojącymi na łbie włosami i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcji i proroków ciemnoty. Czego dawniej nie ważyłby się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, to teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbója i zdrajcy, tyle z niego wywleką na widok publiczny, ukazą i ku czci oraz naśladowaniu podadzą. I pomyśleć, że to my taki sprawiliśmy postępek wyobrażeń, ponieważ przegraliśmy...

Mocniej zacisnął pas wełniany, osłonił piersi sukmaną i ruszył dalej, zwiesiwszy głowę. Czasami ją podnosił i mówił przez zęby:

- Psy parszywe!

Deszcz ostry nacichł i siał tylko ów pył wodny, nieustanny, zawieszający tuż przed okiem jakby nieprzejrzystrą zasłonę. Podmuchy wiatru szalały dokoła wozu, gwizdały między sprychami, wydymały długie poły sukmany i targały koszulę na Winrychu.

Za zasłoną mgły dał się nagle postrzec jakiś ruch jednostajny, równoległy do ledwie widocznego horyzontu. Mógł to być szereg wozów, stado bydła albo - wojsko.

Winrych patrzył przez chwilę, przymrużywszy powieki. Doznawał takiego wrażenia, jakby ktoś zagiął palec pod żyłę krwionośną w jego piersiach i wydzierał ją na zewnątrz.

- Moskale... - wyszeptał.

Dał koniom po siarczystym bacie, ściągnął lejce, zawrócił prawie na miejscu i zaczął uciekać. Nie chciał, a raczej nie mógł odwrócić głowy, ażeby się obejrzeć poza siebie i zbadać, co się tam dzieje. Zdawało mu się, że umknie na bok nie postrzeżony. Nieszczęście chciało, że miejsce było gołe i puste w promieniu wiorst kilku.

Uciekający wóz spostrzeżono. Z szeregów postępującego wojska odłamała się grupa jeźdźców, wysunęła przed front i pomknęła co koń skoczy. Winrych, patrząc już na to zjawisko, nie mógł zrozumieć, czy ci ludzie sadzą ku niemu, czy się oddalają w kierunku przeciwnym. Dopiero zobaczywszy chorągiewki przy schylonych lancach i łby końskie, zorientował się dobrze. Wtedy krew szarpiąca się w jego pulsach - jakby stężała i stanęła w biegu... Zatrzymał konie, omotał dokoła luśni parciane lejce i namyślał się, co wywlec z wozu do obrony: pałasz czy sztucer nie nabity?

Zanim wszakże cokolwiek przedsięwziąć zdołał, machinalnie zbliżył się do zmordowanych koni swoich i zaczął jednemu z nich zdejmować kantar ze łba i ściągać chomąto, jakby z zamiarem puszczenia na wolność tych towarzyszy niewoli. Czyniąc to, na chwilę przytulił się do szyi końskiej i westchnął.

Ośmiu ułanów rosyjskich na pięknych gniadych koniach dopadło wozu i w mgnieniu oka ze wszystkich stron go otoczyło. Jeden z nich, nie mówiąc ani słowa, począł zrzucać lancą suche gałęzie oraz snopki kłoci i sondować głąb wozu.

Gdy grot dźwięknął uderzywszy o lufy sztucerów - żołnierz poklepał Winrycha po ramieniu i mrugnął na towarzyszków. Tamci sięgnęli po karabinki założone na plecy. Winrych stał na miejscu jak przedtem, obejmując ramieniem kark konia. Usta mu się skrzywiły wzgardliwie i w sercu siadło się nie to męstwo, lecz pogarda, pogarda bezbrzeżna, pogarda wszystkiego na tej ziemi.

- Ty do czyjej partii to wiozłeś? -zapytał go ów rewidujący. - Głupiś! - odrzekł Winrych nie podnosząc głowy.

- Do czyjej partii to wiozłeś? Słysz, polaczyszka! - Głupiś!

- To nie chłop - rzekł do podwładnych starszy, z naszywką na ramieniu - to powstaniec.

- Głupiś! - rzekł Winrych patrząc w ziemię. - Bierz psiego syna! - wrzasnął żołdak.

Dwu z nich odsadziło się natychmiast o kilkadziesiąt kroków i szybkim ruchem nastawiło lance poziomo. Skazany spojrział na nich, gdy mieli ukłuć konie ostrogami, i zaraz, jak małe dziecko, zasłaniając głowę rękami, cichym, szczególnym głosem wymówił:

- Nie zabijajcie mnie...

Zerwali się w skok z miejsca zgodnym susem i wraz go przebili. Jeden ohydnie rozplatał mu brzuch, a drugi złamał dekę piersiową. Trzeci ułan odjechał o kilkanaście kroków i gdy dwaj pierwsi, wyrwawszy lance i splunawszy, usunęli się na bok, wziął na cel głowę powstańca. Pociągnął za cyngiel wtedy właśnie, gdy nieszczęsny zsunął się w bruzdę. Kula, przesywszy czaszkę naręcznego konia, zabiła go na miejscu. Zwierzę stęknęło żałością i padło bez tchu na nogi konającego Andrzeja. Żołnierze zsiadli z koni i zrewidowali puste kieszenie sukmany. Rozgniewani o to, że Winrych wypił wszystką gorzałkę, rozbili butelkę na jego czaszce i podarli mu ostrogami policzki. Na głos sygnału, wzywającego ich do powrotu, wskoczyli na siodła i nabrawszy z wozu po kilka sztuk dobrych pałaszów belgijskich odjechali za oddziałem, który zanurzył się już we mgłę i szarugę. Dowódca szwadronu ścigał forsownie jakiś topniejący oddziałek powstańczy, toteż nie miał czasu zawrócić po broń zostawioną w polu na wozie Winrychowym. Tymczasem deszcz rzęśisty puścił się znowu i na małą chwilę ocucił powstańca.

Powieki jego, zaciśnięte przez ból i popłoch śmiertelny, dźwignęły się i oczy po raz ostatni zobaczyły obłoki. Usta mu drgnęły i wymówiły do tych chmur szybko pędzących ostatnią myśl

„...Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”

Wielka nadzieja nieśmiertelności ogarnęła umierającego, niby przestrzeń bez końca. Z tą nadzieją w sercu umarł. Głowa jego wygniotła w błocie dołek, do którego teraz spływać poczęły maleńkie strumyki i tworzyły coraz większą kałużę. Krople, trzepiąc w nią, wzbijały duże, wysoko wzdęte bańki, rozpryskujące się w nicłość tak szybko i zupełnie, jak ludzkie święte złudzenia. Zabity koń stygł szybko na zimnie, a pozostały przy życiu szarpał się w zaprzęgu tak gwałtownie, jakby go kto smagał rzemiennym batem. Nagle pochylił się przez dyszel, przez martwego towarzysza i obwachał głowę Winrycha. Skoro poczuł trupa, ślepie mu krwią nabiegły, grzywa na karku wzburzyła się dziko, szarpnął się w tył, potem cisnął naprzód całym korpusem, bił nogami w ziemię i wierzgał na wszystkie strony w takiej furii, że tylna jego noga wpadła między sprychy przedniego koła wozu. Szarpnął ją z całej mocy i okropnie złamał powyżej pęciny. Ból wprawił go we wściekłość tym większą. Rozjuszony, wściekłymi skokami rzucać się począł. Kość pękła na dwoje w taki sposób, że ostry i jak nóż śpiczasty jej kawałek przebił skórę i coraz bardziej, wskutek targania, ją okrawał.

Dopiero nazajutrz rano pluchota bić przestała, choć wiatr wcale nie ucichł. Chmury leciały wysoko, poprzedzielane głębiami cieniów o kształtach dziwacznych. Pod wiatr i jakby na spotkanie obłoków ciągnęły już stadami, już pojedynczo kruki i wrony. Podmuchy wichrów odnosiły je i odpychały na powrót, nieraz zabawnie wyłamywały im skrzydła do góry albo kamieniem ciskały ku ziemi. Nad padliną w polu leżącą ptactwo krążyć poczęło, zniżało lot usilnie i po długim mocowaniu się z wichurą siadało na zagonach z daleka.

Koń żyjący wciąż stał ze złamaną nogą, zamkniętą między sprychami. Wyciągnąć jej dla wielkiego bólu już nie usiłował. Obnażona kość przy każdym poruszeniu zaczepiała się o drzewo i krajała skórę.

Ujrzawszy wrony, powolnymi krokami, z nogi na nogę postępujące ku wozowi, koń zarżał. Zdawał się wołać na ludzi osiadłych, na plemię ludzkie:

- O ludzie nikczemni, o rodzie występny, o plemię morderców!...

Krzyk ten rozlegał się nad pustą okolicą i ginął w szalonym głosie wiatru, tylko na chwilę wstrzymując postęp trupojadów. Wrony z wielką rozwagą, taktem, statkiem, cierpliwością i dyplomacją zbliżały się, przekrzywiając głowy i uważnie badając stan rzeczy. Szczególnie jedna zdradzała największy zasób energii, żądy odznaczenia się czy nienawiści. Było to może zresztą po prostu namiętne odczuwanie interesów własnego dzioba i żołądka, czyli, jak przywykliśmy mówić, odwagi (co „było dawniej paradoksem, ale w nowszych czasach okazało się pewnikiem...”). Przymaszerowała aż do nozdry zabitego konia, z których sączył się jeszcze sopol krwi skrzepłej, okrytej błoną rudawą. Bystre i przenikliwe jej oczy dojrzały, co należy. Wtedy bez namysłu skoczyła na głowę zabitej szkapy, podniosła łeb do góry, rozkraczyła nogi jak drwal zabierający się do rąbania, nakierowała dziób prostopadle i jak żelaznym kilofem palnęła nim martwe oko trupa. Za przykładem śmiałej wrony ruszyły się jej towarzyszki. Ta preparowała żebro, inna szczypała nogę, jeszcze inna rozrabiała ranę w czaszce. Najbardziej przecież ze wszystkich odznaczyła się ta (należy jej się tytuł wrony „tej miary”), co zapragnęła zajrzeć do wnętrza mózgu, do siedliska wolnej myśli i zupełnie je zeżreć. Ta wstąpiła majestatycznie na nogę Winrycha, przemaszzerowała po nim, dotarła szczęśliwie aż do głowy i poczęła dobijać się zapamiętałe do wnętrza tej czaszki, do tej ostatniej fortecy polskiego powstania.

Nim wszakże skosztowała warcholskiego mózgu i zdążyła osiągnąć tak zwany tytuł do sławy, spłoszył ją nowy przybysz, co zbliżał się niepostrzeżenie, chyłkiem, podobny do dużej, szarej bestii. Nie był to wcale poetyczny szakał, lecz człowiek ubogi, chłop z wioski najbliższej. Na działku, który odtąd miał do niego należeć na zawsze, znalazły się trupy - szedł tedy zabrać je stamtąd.

Bał się srodze Moskali, toteż prawie pełzał na czworakach. Paliła go żądza poucinięcia rzeźmi i podniecała słodka nadzieja znalezienia jeszcze, pomimo lustracji żołnierskiej, żelastwa, postronków i odzieży na trupie. Stanąwszy wreszcie nad zwłokami Winrycha, począł kiwać głową i wzdychać - potem ukląkł na ziemi, zdjął kaszkiet, przeżegnał się i zmówił głośno pacierz.

Wyrzekłszy ostatnie amen, już z błyskiem pożądlivosti w oczach, rzucił się przede wszystkim do kieszeni i zanadrza i począł szukać trzosa. Nic tam już nie znalazł. Obdarł tedy trupa z sukmany, szmat zgrzebnych, zzuł mu buty, zabrał nawet zbłocone onuczki, owinął tymi lachmanami część broni i szybko się w oddalił. Po upływie godziny wrócił, aby zabrać resztę zdobyczy. Około południa przyprowadził parę koni i wyprzągł konia kalekę. Obejrzawszy jak najstaranniej jego przetrąconą nogę, przyszedł do wniosku, że jest zepsutą zupełnie. Trzeba było szkapę na nic niezdatną udusić. Założył jej też, nie zwlekając, linkę na kark, przywiązał ją do wagi od orczyków, wlokącej się za parą jego koni, plunął w garść i popędził je, tnąc z całej mocy. Konie nagle szarpnęły, pętlica zdusiła gardziel skazańca i zwała go na ziemię. Za chwilę jednak moriturus zerwał się i pobiegł cwałem za ciągnącą go parą, stąpając ostrym szpicem nagiej pieszczeli po błocie i po kamieniach.

Chłop spojrzął i aż zakrył sobie oczy z obrzydzenia. Zaraz odwiązał linkę i dał pokój egzekucji. Zaprzągnął konie do wozu i odjechał. Po południu zjawił się z kozikiem i zdjął skórę z konia zastrzelonego przez ułanów. Została tylko do wzięcia skóra na koniu jeszcze żywym. Chłopowina medytował, roztrząsał sprawę i rozpatrywał ją z rozmaitych punktów. Mógłby zdechlaka zarznąć kozikiem i załatwić całą rzecz za jednym zamachem, ale nie chciało mu się „paprać” moralnie i fizycznie. Z drugiej strony - bał się nie na żarty, aby ktoś w nocy nie za-

kradł się cichaczem, nie zatłukł szkapy i skóry z niej nie ściągnął. Koniec końców, tknięty jakimś skrupulem, rzekł do leżącej:

- Ej - a dychaj se tu... I tak na jutro na rano kopyta wyciągniesz. Spracowałem się. Pan Jezus miłosierny pobłogosławił mnie grzesznemu... Może i nikt nie widział, może i nie przyjdzie po skórę. Dobrze i to. Dychaj se tu, niebogo, dychaj...

Na uboczu względnie do tego kierunku, w jakim zdążył Winrych, były w równym polu doły kartoflane. Ponieważ okazało się, że grunt przepuszczał wodę do wnętrza tych dworskich piwnic zimowych, więc przeniesiono je w inne miejsce, a jamy owe chwastem zarosły. Krzaki berberysu zagaiły ich dno i ściany. Belki ocembrowania pozapadały się wraz z bryłami gliny, tworząc lochy i katakumby, pełne teraz wodnistego błota. Do jednej z tych dziur zaciągnął włościanin nad wieczorem trupa powstańca i zwłoki konia obdartego ze skóry. Zepchnął je pospołu do jednego lochu, uwikłał żerdzią między dylami i zielskiem i narzucił z wierzchu trochę gliny, aby tego żeru wrony nie wytropiły.

Tak bez wiedzy i woli zemściwszy się za tyłowieczne niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk, za hańbę i za cierpienie ludu, szedł ku domowi z odkrytą głową i z modlitwą na ustach. Dziwnie rzewna radość zstępowała do jego duszy i ubierała mu cały widnokrąg, cały zakres umysłowego objęcia, całą ziemię barwami cudnie pięknymi. Głęboko, prawdziwie z całej duszy wielbił Boga za to, że w bezgranicznym miłosierdziu swoim zesłał mu tyle żelastwa i rzemienia...

Nagle w śmiertelnej ciszy jesiennego zmroku przeleciało nad ziemią rozpaczliwe końskie rżenie. Chłop się zatrzymał i nakrywszy oczy dłonią od blasku, patrzył pod zachód słońca.

Na tle zorzy liliowej widać było konia, wspartego na przednich nogach. Miotał łbem, wykrecał go w stronę grobu Winrycha i rżał.

Trzepały się nad tym żywym trupem, wlatywały, spadały i krążyły wron całe gromady. Zorza szybko gasła. Zza świata szła noc, rozpacz i śmierć.

Poganiń

Po nieustającym, kilkudniowym deszczu nadszedł dzień niepogodny jeszcze, lecz cichy przecie i ciepły. Łagodny wiatr zachodni darł jednolite sklepienie burych chmur na płyty tytaniczne, kładł jedną na drugiej warstwami, tworząc z ich krawędzi jakby wywrócone schody, od krańca widnokregu do bezkształtnej głęбини niebieskiej wiodące.

Szedłem miedzami i ścieżkami polnymi, których kierunek i kształt pamiętałem, jak przez sen, z czasów dzieciństwa. To ta sama uboga równina podlaska, z lekka powyginana w płaskie zagłębienia łąk, w okrągłe wzgórza, te same zmurszałe ze starości płoty z opadającymi żerdziami, te same rokiciny, wikle i sity nad błotami, dalekie wydmuchy szarego piasku i Bug jasnoniebieski - które śniły mi się tylekroć.

W ciągu kilku lat ostatnich nie wyjeżdżałem zupełnie z Warszawy i, żyjąc jej życiem, byłem „chory na Moskali”, na chorobę dziwną, nie dającą się określić, lecz bez wątpienia wyniszczającą organizmy psychiczne tysiąca ludzi. Wytwarza ona w jednostkach pewnego rodzaju melancholię, odrzę do wszystkiego, cokolwiek się wszczyna, a jednocześnie chorobliwą i bezradną nadwrażliwość na ludzką niedolę, która nęka co godzina, codziennie, wszędzie toczy duszę jak skir i równa się jakiemuś nieprzerwanemu szarpaniu żył. Choroba ta nie jest ani sentymentalizmem, ani szowinizmem, ani nienawiścią, ani miłością, lecz jest po prostu głuchą i niemą rozpaczą umysłów. Pokazuje nicość systematów myślenia, idei, ukochań, prac w pocie czoła, w zaparciu się siebie, w obeldze i potwarzy, bohaterstw cicho spełnianych, jak zbrodnie, poświęceń tajemniczych - uczy, że jeden jest pewnik nieomylny, jeden cel i wynik wszystkiego: „pożałujcie w żandarmskuju!”...

Był początek czerwca, żyta szły w słup i czarna fala goniła już po ich powierzchni falę płową, na łąkach trawy po deszczu puściły się bujnie, ostre żółte jaskry pokładły na ich jasnozielonym tle smugi płomieniste, pachniały poziomki, dojrzewające zioła i cały ten dziwnie wonny, nieujęty czad wilgotnej łąki. Na czystych, małych kałużach wody deszczowej wiatr wzdymał drobne, ciemnogrnatowe fale, a te kołysały rytmicznie badyle mietlicy z długimi ościami u plewek kwiatowych i grube, pozginane sitowia. Cisza, nareszcie cisza, samotność i pola!

Zapuszczona i ledwie widoczna ścieżka szła wzdłuż rzeki, nad którą zwieszały się gęste zarośla, tworząc na dalekiej przestrzeni łąk pas, zataczający półkola. Za rzeką, na nieznacznym wzgórzu piaszczystym, zaczynał się las, sięgający aż owych wydmuchów nad brzegiem Bugu. Małeńkie półwyspy, utworzone przez rzeczne zakręty, podobne były do zacienionych bujną krzewiną samorodnych altanek. W jednej z takich siedział, plecami o krzaki oparty, stary chłop - pastuch. Był to typowy Jadźwing-Polak: chudy, kościsty, zgarbiony, o twarzy ściągłej, czarnej prawie, o ustach wąskich, zaciętych, brwiach zsuniętych. Ubrany był w zgrzebny, na czerwono ufarbowany spancer, w takież spodnie, oberwane i podarte, i słomiany kapelus, spod którego zwieszały się siwe, długie i rzadkie włosy. Bose nogi z zakrzywionymi i pozbijanymi palcami, z wypchniętymi w tył piętami, wyciągnął przed siebie i tak był

zatopiony w pracowite plecenie łąpcia lipowego, że mię nie spostrzegł. Obok niego leżał kan-
cerek z kory olszowej, osadzony na długim kiju - do łowienia raków.

- A co to majstrujesz, stary? -zawołałem pochylając się nad nim.

Szybko podniósł głowę i łypiąc zabawnie oczami wpatrywał się we mnie.

- Widzicie przecie, panulu, było pasę, raki łowią, taj łąpec plotę... - odpowiedział po chwili starczym, zdławionym głosem, lecz tą polszczyzną śpiewną, czystą i piękną, jaką mówi lud pochodzenia jadžwingo-polskiego tamtych okolic.

- A cóż, raki ci się łowią?

- On by się i łowił, rak bestyja, po deszczu; ta, widzisz, żaby tej paskudnej nagnać nie mogę. Taka mądra i żaba nastąła: po tej stronie, gdzie bydło chodzi, po pastwisku nie siedzi, po trawie skacze, a trawy maścić grzech - bogata trawa jaka!

Mówiąc to, wpatrywał się we mnie uparcie, zawzięcie, jakoś chytrze i nieufnie. Gdzieś tę twarz, za lat dziecięcych zapewne, widziałem, lecz gdzie i kiedy, usiłowałem przypomnieć daremnie. Zachowało ją nieświadome jakby myślenie - tę samą, z pałającymi posepnie oczami. Wiedziałem jednak, że oczy te dawniej, wtedy - miały wyraz inny. Dzisiejsza ich nieufność i szydercze wejrzenie przykrość i ból mi sprawiały.

- Gdzieś ja ciebie już widziałem, dziadu... Zezem spojrzał na mnie i rzekł:

- Dużo ja się po świecie tłukł, może mię gdzie i zaznałeś. A ty, panulu, skąd?

Nie odpowiadając zapytałem wymijająco: - Pastuchem jesteś - we dworze?

- Ni - gromadzkie bydło pasę. - Szmaciny na tobie liche...

- Dziadowskie. Dawno ja się z dziewczkami kochać przestał prawie takie.

- Zasług u tej gromady pobierasz dużo?

- Zasług?... - zaśmiał się. - Przyodziewek mi dają. - I strawę?

- Gdzie zaś? Jagód to mało? Czerwona jagoda w lesie jest, malina się trafi - malina w tutejszych miejscach duża, słodka, czernica będzie, dziad rośnie w jarze. Raków nałowię, w wąglach napiekę... żywcem ich - ta tak się objem! Rybka, płoteczka biała na śpilkę się łapie, śliw się pod kamykami pluskają, tłuste jak wieprzki.

Zapalając się coraz bardziej, prawil:

- Ej - o jednym ja tu kaczym gnieździe wiem -duże kaczkki, krzyżówki. Jak klapaki wyrosną, jak w pałach będą, rękami pobiorę, łby poukręcąm, w glinę każde z osobna zalepię, w wągłe te kule pokładę - pałek skubać nie trzeba, bo do gliny przyschną, a jadło jakie - ha!

Kiedy to mówili i oczy mu się zaśmiały łagodnie, przypomniałem sobie wszystko.

- Toż ty z Pratulina!

Chłopu dolna warga drgnęła i oczy dziko błysnęły.

- Z Pratulina? - zapytał przewlekłe: - A tobie na co, skąd ja?

- Ja ciebie widziałem dawno, jak zbrodnia była. Patrzył mi teraz w oczy surowo, pokaszlując z cicha.

- Tyś miał dużą kolonię, bogatym byłeś chłopem; sołysem pamiętam...

- Coś ja nie przypomnę... dawny to czas - szeptał jakby do siebie szyderczo. - Dawny to czas... ja teraz russki muzyk, prawosławny...

- A cóż, na pastuchy zeszedłeś? Gdzież grunt? Przepiłeś czy jak?

- Grunt? - mówił zamyślony, patykiem uderzając w ziemię. - Ja i żonkę przepiłem, i dwoje dzieci. Chłopiec jeden był u mnie rześki jak ten źrebiec, drugi maleńki, maleńki... Do Pana Jezusa ja ich przepił; wziął unie oddaje - he - he...

- Wywieźli?

- Coś ty na mnie ustygujesz, panulu - Moskalik ty może jaki, powiatowy może - a?

- Nie, bracie...

Popatrzył na mnie - i sposepniała nagle ta twarz zimna i skrzepla, milcząca głucho, niby pole nagiego gruntu - jakby na nią cień padł zniecka.

- Pod serce ty mnie gryziesz, pod serce... - mówił kołysząc głową. - Ot ja sołtys, ot ja włości-
jan, ot ja mądry gospodarz, piśmienny człowiek - gromadzkie bydło pasam, w gałganach cho-
dę, stawy cieplej nie mam - ot jak... A żonka w stepie po prośbie chodzi, a na synki moje
cudzy człowiek pluje - ot jak... U mnie żyto rosło kłosiste, wysokie, u mnie bułanki dwa rza-
ły, u mnie krów pięć, u mnie... hej! - Moskaliki, wy Moskaliki!... Mówiłem mu o Chrystusie
miłosiernym, co łzy nędzarzów w sercu trzyma, co krzywdy wszystkie pamięta, co karał bę-
dzie barbarzyńcę...

Słuchali mnie uważnie, ze ściągniętymi brwiami, głową potakiwał - aż nagle przerwał:

- Miód u ciebie w uściech jak u księdza. Młodziuteńki ty... A ja, widzisz, stary, dawno ja to
już słyszałem, dawno... Służył ja Jemu wiernie - temu Panu Jezusowi - a na mnie on nie wej-
rzał, a na cały naród chłopski nie wejrzał, w rękę oprawców nas wydał. A służył ja Jemu
wiernie, nie gębą - ot jak!

Gwałtownym ruchem rozerwał tasiemkę koszuli pod szyją i obnażył ramię i plecy poszarpane
w szwach, w bliznach, w śladach ran ohydnych. Z oczu mu strzelił dziki blask, brwi wzniosły
się na czoło, zęby wyszczerzyły i buchnęła na twarz namiętność dzika, głucha, chłopska,
dawno zduszona. Zaczął mówić szybko, głośno, głosem ochrypłym:

- Ja się Jego nie zapierał, na rotę-m wojska wyszedł z krzyżem i piersi odkrył. Ze mnie ciało
kawałkami leciało pod batem - ja imienia Jego wzywał.

Ja w Brześciu między zbójami i łotrami krzyżem leżał po całych nocach, na mnie żołdactwo
pluło, grunt mój sprzedali za nic, dzieci wywieźli - ja tylko imienia Jego wzywał. Aż raz w
nocy rozum i statek na mnie przyszedł... Jakby Pan Bóg na niebie byli, jakby był sprawiedli-
wy, toby na świecie nie było tego katowstwa.

Widziałem ja Moskwę, Niżni-Nowgorod - tam moskiewskiego luda moc. Jeśli w naszej religii
prawda - to za cóż tamto wszystko w błędach żyje? Gadki księdzowskie!

Tu nie ma prawdy - to gdzież ona? W niebiesiech? - Hej - pieniędzy to nabiorą za tę gadkę
popy a księdze! Ja się na prawosławnego podpisałem, tam, w tym Niżnim, ale mi i cerkiew, i
kościół - tfu!

- Dziadu - ej dziadu!

- Tak to... Sam byłem i choć-em cierpiał, gorzkość tylko miałem w sercu z modlitwy, z po-
stów, umartwień. Teraz swoją rzecz wiem. Gruntu mi Moskal nie oddał, bo żona, powiada,
oporna jest. Ano nic - to i dobrze. A grzyby te i jagódki, rybki i raki - to już przecie niczyje,
ludzkie, nie jego - pieczętki nie nałoży.

- A któż te grzybki i jagódki stwarza dla ciebie?

- Tego to i ty nie wiesz, panulku... Samo ono tak stoi. Słoneczko ono może jasne... Jak ja je
zobaczę-oto mi w sercu lubo, a w głowie jasno. Wstaje se ono co dzień, pracuje, traweczki
hoduje, zioła przeróżne, a nie ukrzywdzi nikogo, nikt ta za nie w skórę nie dostał - tak to...
Idzi, panulu, a nie gadaj Moskalikom nic, bo mię tu znowu targać przyjdą...

Poszedłem... Mroki wieczorne spływały na ziemię...

Doktor Piotr

W pokoju pana Dominika Cedzyny ciemno i cicho, choć stary jegomość nie śpi. Oparłszy się plecami o poduszki, wpołóżąc na łóżku, zatopiony jest w dziwacznych myślach, do niebywałego ogromu podniesionych przez ciszę nocną. A noc jest cicha śmiertelnie. Światło księżycowe, przestrzeliwszy grubą warstwę szronu, co zabielił szyby niby wapno, stoi na powierzchniach starych gratów, dwu ścian, części sufitu i podłogi bez ruchu, jakby z zimna skostniało, takie samo zapewne, jakie oświetlać musi tej nocy kłody gnijące na dnie wód przywalonych lodem. W szparze szerokiego zapiecka odzywa się czasami świerszcz, w kącie pokoju kołace głucho stary zegar szafkowy, ostatni zabytek świetności minionej. Śpiew świerszcza i tępy szczęk wahadła sprawiają panu Dominikowi niejaką, trudną do określenia ulgę. Gdyby nie te dwa litościwe szmery, rozszarpałyby mu chyba serce tłok i burza uczuć i odebrała rozum nawałnica ponurych myśli. Gdy z mrocznych kątów izby wychylać się poczną zmory bojaźni, gdy w sercu żarzyć się poczyna żal bezsilny i łzy okrutnego bólu palą powieki - świerszcz szepce - głośniejsz, zupełnie jak gdyby wyraźnymi słowami, sylaba za sylabą, mówił: „Wzywaj Go w dzień utrapienia, a wyrwie cię i czcić Go będziesz”. To dziwne zdanie, ta rada czy modlitwa utajona w szmerze robaczka nocy, jest jedynym i ostatnim punktem podparcia dla wytraconych ze zwyczajnej kolei myśli samotnika.

Kilkakrotnie zapalał świecę sądząc, że go światło uspokoi. Daremnie. Skoro zatlił zapalną, rzucał mu się w oczy list syna i przypominał, jakie i gdzie ta męka ma źródło. Teraz ogarnęła go chęć zajrzenia raz jeszcze nieszczęściu w same ślepie, dźwignęła z niemocy ducha biedna odwaga smutnych aż do śmierci: zapuścić sondę w głąb rany, do cna ją wymacać, przekonać się naocznie i nieomylnie, że jest niewyleczalną - no, i niech tam wszystko jasne pioruny spalą!

Nałożył okulary, odsunął list za płomień i powoli, półgłosem czytać zaczął:

„Mój Drogi Ojcze! Ze wszystkich moich złotych marzeń diabeł sobie fidybus skręcił i zapalił cygaro. Chętnie się niegdyś z moich zdolności do matematyki, oczy mi na wierzch wylażyły z pychy, gdy koleżkowie kpinkowali, że ja już w łonie matki, w randze sześciomiesięcznego embriona, oczekując chwili wydostania się na ten padół rachunku różniczkowego, rozwiązywałem z nudów algebraiczne zadanie o gońcach. Teraz przeklinam i te niby zdolności, i te głupie rachunki. Gdybym był pasał krowy na wygonie albo i same wieprzki... Ale co to pomoże w bawełnę obwijając! Awantura ma taki deseń: Mniej więcej

przed trzema tygodniami prosi mnie do siebie profesor i daje do czytania list niejakiego Jonatana Mundsleya, chemika, byłego profesora w jednym z uniwersytetów angielskich. Ten pan, porzuciwszy katedrę, urządził sobie laboratorium prywatne i prosi naszego starego o wskazanie mu najzdolniejszego spośród asystentów naszej politechniki, chce bowiem takiemu facetowi powierzyć kierownictwo owej budy. Obiecuje płacić dwieście franków miesięcznie, dać mieszkanie, wszelkie materiały, jakich chemiczna dusza zapragnie, opał i inne przyjemności - no i prawie zupełną swobodę w pracy. Gdy list przesyłabizował, profesor odebrał go z rąk moich, złożył starannie, schował do szuflady, skrzywił się swoim zwyczajem i podawszy mi flegmatycznie kończynę usiadł przy biurku i wetknął nos w papiery. Patrzałem z podziwieniem na jego łysy czerep, gdy ten stary nie-
dojda mruknął:

- Tam już napisałem... Należy wziąć ciepłe spodnie i wełniane skarpetki. Wiadoma rzecz... mgły... Miasto Hull nad morzem. Jeżeli brak panu pieniędzy, mogę pożyczyć trzysta franków bez procentu na trzy miesiące. Tak... tylko na trzy miesiące.

Zrobiło mi się haniebnie głupio. Azaliż ja - myślałem -wziąwszy na się postać najzdolniejszego między chemiki, pojedę w wełnianych skarpetkach nad morze, aż do miasta Hull? Czemu nie kogo innego spotyka takie zaszczytne wyróżnienie, taki los szczęśliwy? Bo to los! W pracowni Mundsleya bez troski o jutrzejszy obiad i dzisiejsze przyszczyпки u butów, można pracować nie tylko nad zdobyciem nowych wiadomości, ale i zaspakając wydlubane ze swego własnego mózgu hipotezy.

Ta chemia ma swoje psie figle... Skoro człowiek raz w to błoto wlezie, jeżeli jeszcze powącha spraw nie zbadanych a wiecznie nęcących, porywa go taka przecież szewska pasja odnajdywania nowych „prądzeń”, że gotów i o wełnianych skarpetkach mniej dokładnie pamiętać. A zresztą, mój Tatku, zobaczyć Anglię, jej prawdziwie wielki przemysł, te cuda cywilizacji, te kolosalne skoki ludzkiego geniuszu! Zabrałem się i wyszedłem. Posiedziałem na Stapferwegu, a stamtąd, gnany niepokojem, ruszyłem na miasto. Zamiast wszakże zwołać publikę do Kropfa, gdzie tradycja surowo nakazuje oblewać wyjątkowe zdarzenia, puściłem się nad jezioro. Nie pamiętam, kiedy znalazłem się na drodze prowadzącej do Westmünster. Ciemna mgła kapała się we wzburzonych falach: rude, obdarte, poszczerbione zbocza i upłazy gór wynurzały się z niej kiedy niekiedy niby fantastyczne wyspy; żałośnie krakały mewy szybując nad samą wodą.

A więc jadę - myślałem - do ziemi Angielczyków ziemnowodnych, jadę nad morze, nad dalekie i nieznane morze... Nadaremnie tak długo łudziłem się nadzieją, że pojedę w inne strony, że po ośmiu latach inny zobaczą krajobraz. Nadaremnie w ciągu ostatnich trzech lat wysłałem tyle strzelisto-rekomendowanych afektów do Łodzi, Zgierza i tym podobnych Pabianic, upraszając o posadę z płacą czterdzieści, trzydzieści, niech tam zresztą wszyscy diabli! - dwadzieścia pięć rubli miesięcznie. Na próżno wynosiłem pod niebiosa moje talenty chemiczne, cytowałem moje patenty, obiecywałem wynaleźć nowe środki drukowania perkalików. Skompromitowałem się tylko w oczach własnych i świętej nauki. Tam żydkowie i niemczykowie wszystko już wynaleźli, zatkali wszystkie miejsca i popychają wielki przemysł. Rozwiały się marzenia o tym, że cię, Mój Staruszk, mit Pompe

und Parade zabiorę do siebie, że posprawiamy sobie nowe przyodziewki (samych butów kozłowych z cholewami po dwie pary na chłopa), że naznosimy tytoniu, cukru, herbaty, kiełbas - lichu wie zresztą czego, że się będziemy wieczorami jak ostatnie szewcy zgrywać w domino i świętej pamięci Kozików wspominać... Kozików!... Czy też Ojciec pamięta ten wydmuch piaszczysty za naszym ogrodem, obrośnięty krzywymi sosnami i niską, szorstką trawą? Sam nie wiem, czemu tak lubię myśleć o tej dziurze. Pamiętam raz... Po długich i tęgich mrozach, po ciężkiej zimie, nastał pierwszy dzień ciepły, prawie upalny. Był to jeden z pierwszych dni marca. Około południa obnażył się niespodzianie ze śniegu szczyt owego wzgórza, wylał ze skorupy i zaczerniał nad białym widnokregiem jak garb potworny. Stałem wtedy w oknie i wydawałem lekcję korepetytorowi - pamięta go Tatko? Kudłatemu Kawicy. Coś mię kolnęło. Nie wiem, jakim sposobem wykręciłem się z lekcji, wypadłem na dwór, zwołałem psy folwarczne i „co koń skoczy” przez zagony, przez pastwisko, bez czapki!... Do dziś dnia mam w sercu tę chwilę, te uczucia, jakby to było wczoraj. Po igłach, gałęziach, po korze odziemków sosnowych spływały ogromne, brudne krople, ciężko kapały na zasy i dziurawiły je na wskroś; każdy skostniały badył, każdy pniak, kamień, każde drzewo, każdy przedmiot wciągał w siebie, połykał wszystkimi porami promienie słońca i stawał się w mgnieniu oka ogniskiem ciepła. Dokoła drzew, krzaków, suchych łądyg chwastu, dookoła kamieni i kołków drażyły się w oczach ogromne jamy i ukazywał w nich jasny, wiotki piasek. Każde jego ziarenko, nasyczone ciepłem, zdawało się żarzyć i płonąć, szerzyło na zmarzniętych towarzyszków radosny ogień. Ziarenka piasku parzyły śnieg ze spodu, drzewa i krzaki chlustały nań ciepłymi kroplami; przykopy i zagony zdawały się dźwigać zdławione grzbiety. Z dalekich pól szedł gęsty opar niby dym ciepły, migał się i przewalał nad równinami, a trząśł i połyskiwał nad wzgórzem.

Stado wróbli wygrzewało się na gałęziach suchej wierzby i ćwierkało jak na trwogę. Rozpuszczone, jak u indyków, ich skrzydła strzepywały z gałązek lód i osędzieliznę, dzioby kuły niecierpliwie w próchno obwieszane soplami. Zdawało mi się wtedy, że całe to stadko śpiewa jedną pieśń dziwną i nigdy nie słyszaną, przejmującą do szpiku kości. I popłynęły nareszcie pierwsze wody wiosenne, bujne, nagłe, gwałtowne, jak łzy niespodziewanego szczęścia. Sączyły się bruzdami, złościły sobie głębokie łożyska w posiniałych kolejach wyrżniętych przez sanice, lały się po wierzchu śniegowej skorupy, z cicha, radośnie szemrząc. W naszym strumieniu woda wezbrała, powstawały wiry huczące, odsłaniały się brzegi i spływała po nich, jak ropa, żółta, rzadka, rozmoczona glina. Pnie brzoź nadwodnych zanurzyły się w rzekę i ssały korzeniami tę wodę żywą...

Wpadłem w szal: spuszczałem strumyki, ułatwiałem spadek wodospadom, kopałem kanały, stawiałem tamy... Cieszyłem się z głębi serca, że skostniałym badyłom ciepło, że już żaden wróbel nie zmarznie, i wyciągałem po raz pierwszy w życiu dziecięce ramiona do tej wielkiej niewiadomej...

Czy też to miejsce jest tam jeszcze? Pytanie godne głowy i pióra doktora Piotra Cedzyny - nieprawdaż? Ach tak!... Człowiek, któremu odejmą strzaskaną rękę, czuje ciągły ból w próżni równającej się długości ręki. Często budzę się po twardym śnie z tym nieujętym bólem w próżni. Oto przyjdzie nowa wiosna... Zobaczą ją we mgłach przydymionych sadzą fabryczną - a zarówno tam jak tutaj będę niósł w sobie kły upióra, głęboko zapuszczone w duszę... I tak zawsze, bez końca...

Zapomniałem, o czym właściwie chciałem Ci pisać, Mój Stary, Mój Drogi Stary... Jestem sam na świecie i Ciebie mam tylko jak drugą połowę siebie, jak oddartą i niezmiernie daleko uwięzioną połowę duszy. Nie gniewaj się, że piszę rzeczy nieciekawe - piszę jakby do siebie... Gdym tedy stał nad brzegiem jeziora, było mi strasznie podle. Wielkie, przezroczyste, jasnozielone fale biegly z jakiegoś nieznanego miejsca schowanego we mgle, trzepały się u brzegu, pękały rozplątane przez ostrze kamieni, a każda ześlizgując się w głębinę, zdało się, wzdychała: „Jesteś jak mrówka wychowana w lesie, gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie... „,

Pan Dominik odrzuca list ze złością i podparłszy brodę pięściami siedzi nasrożony jak kania. Nie męczą go już teraz fantastyczne, bezprzedmiotowe rojenia, ale za to skupiają się i kojarzą logiczne, nie mniej bolesne myśli. Czemu taki koniec wzięło życie? Gdzie przyczyna tych wszystkich wypadków? Dlaczego jedyny syn nie słucha ani prośb, ani zaklęć, ani przedstawień, ani rozkazów i zamiast się uniewinniać, pisze rzeczy sentymentalne i niezrozumiałe? Dlaczego nie powraca? Gdyby się tylko zjawił, przy protekcji, podeptawszy nieco, znalazłoby się dla niego doskonałe miejsce, posażną pannę... Dlaczego? - To rzecz jasna. Człowiek nie może żyć i pracować - odpowiada sobie pan Cedzyna - jeśli ktoś nie żył przed nim i nie pracował dla niego. Ten ktoś-któż to jest? -Ojciec. Przez urodzenie ojciec nie daje jeszcze synowi życia - daje tylko obietnicę życia, wychowanie poczyna je, a dziedzictwo dopiero zapewnia i uzupełnia. Tu jest źródło konieczności dziedziczenia w rodzie ludzkim. Ono jest węzłem, co spaja pokolenia umierające z rodzącymi się, wypływa z tego, co jest niezbędne we względzie potrzeby ciała, tworzy i uwiecznia rodzinę. Rodzina bez dziedzictwa jest stosunkiem niedorzecznym, bolesnym, jest męczarnią narzuconą człowiekowi przez Opatrzność... Taką klątwę my na sobie dźwigamy z Piotrusiem! Dziedzictwo dopiero jest znamieniem człowieczeństwa; przez nie, razem z owocami pracy, pozostawia synowi ojciec owoce swych wrażeń, pojęć, rozważań, odkryć i domysłów, wszystkiego, słowem, co mógł nabyć długoletnim doświadczeniem. Syn od punktu, w którym się ojciec zatrzymał, postępuje i sięga dalej na drodze bogactwa oraz inteligencji - a tym porządkiem praca przechodzi z rąk do rąk, gromadzi się, rozwija, opiera jedna na drugiej i formuje piedestał, na którym wznosi się coraz wyżej... cywilizacja. W rosnącym postępie społeczeństwa, jeżeli kto raz utraci wątek, już go niepodobna pochwycić - i jeżeli ojciec był niedołącznym w pracy, syn cierpi za winy nie popełnione, a nie-szczęście z krwią się przekazuje. Dziedzictwo trzyma dzieci w obrębie progów domowych i zaspakaja ostatnią i dlatego może tak wielką i gwałtowną namiętność starości, namiętność obcowania z potomkami...

- Ja to wszystko straciłem - szepce pan Dominik ściskając sobie skronie - i straciłem na zawsze! Głos starości woła na mnie o ducha i krew, a ja jestem jak rzeźbiarz, od którego żądają w terminie skończonego posągu, podczas gdy on, prócz idealnego w duszy obrazu, nie ma ani garści gliny. Ośmnastoletniego wyrostka puściłem bez grosza, samopas za granicę... cóż dziwnego, że wyrósł na obcego mym wyobrażeniom, na nowożytnego człowieka. Czymże ja go przyciągnę? Miłością, śmiertelną tęsknotą?... Co nas łączy? Nazwisko chyba, które on po nowomodnemu lekceważy sobie. To nowoczesny człowiek: uczyni ze sobą, co chce i jak chce. Za moich czasów syn był w ręku ojca, słuchał go i czcił, nie miał prawa opuścić pod groźbą surowego wyroku naszych ludzi. Nie zasmucił ojca, bo wisiało nad nim twarde i mocne, niepisane prawo. Teraz ono rozwiązane leży, odkąd zniknął nasz obyczaj szlachecki. Synowie nasi odeszli w świat... Szukają nowej prawdy. Śpieszą po twardym gościńcu, w skwarze i znużeniu zdaje im się bowiem, że na najbliż-

szym wzgórzu tej drogi leży nie tylko ten skarb, ale i szczęście ducha. Nas wstrzymywała w biegu mądrość rodzicielska, pokazując, że ta nadzieja czczym jest mamidłem. Ich nie wstrzyma, toteż w duszach ich nie ma „miękkich włókien” czułości. Słabych i nikczemnych mieli ojców. Ach! wielka nasza wina!... ale czyż nasza tylko? My, członkowie szeroko rozpostartej rodziny szlacheckiej, stanowiliśmy odrębną społeczność, byliśmy cennym zbożem, rosnącym na pocie tłumu jak na nawozie. Czy nie tworzyliśmy postępu, nie piastowali cywilizacji, nie rozwijali prawidłowo naszej myśli? Duch czasu wsiął nas w gminy, jakby ktoś ćwierć dorodnego żyta wsiął w pole nędznej wyki. Rozbiliśmy się na jednostki, zwyrodniali i zgoła znikli. Cóż z tego, że ja przystosowałem się, że poszedłem na służbę do pierwszego lepszego bękarta losu, do syna jakiegoś przekupnia, do parweniusza, który rozmaitymi protekcjami, stypendiami z lewej ręki, pokornym całowaniem mankietów doszedł do dyplomu inżyniera i możliwości zgarniania pieniędzy na torach kolejowych? Co z tego, że wyłamałem ze stawów moje harde myślenie z takim trudem, jakbym wyłamywał kości, że nauczyłem się zginać kark i pracować jak ostatni z moich niegdyś parobków? Co z tego, że zdławiwszy w sobie obrzydzenie wsiadłem na karuzelę pojęć nowoczesnych? Nie przestałem być sobą i nie zostałem mieszcuchem. Co stokroć gorsza, nie rozumiem mego syna, nigdy nie będę jego przyjacielem, nigdy nie będę godnym jego współczucia, jego, co jest jedyną na całym szerokim świecie istotą z mojej krwi. I nic się już nie zdarzy w tym plugawym życiu oprócz jednego wypadku godnego uwagi, oprócz śmierci. Piotruś pojedzie do Anglii. To znaczy, że gdy ja będę umierał, gdy ktoś litościwy wezwie go telegraficznie, on, przy największym pośpiechu, może przyjechać nazajutrz po moim pogrzebie. Po mojej nędznej śmierci... Nigdy już nie pomacam rękami jego włosów ani nie usłyszę głosu. Zapomniałem, jak on mówi, i nie mogę sobie przypomnieć tego dźwięku. Ciągłe się w czyjeś mowie odzywa, krąży mi koło uszu i ciągle zwodzi. Nigdy nie obejmę oczami jego postaci, jego męskich, szerokich ramion. Taki był wtedy chuderlawy, mizerny tego wieczora, kiedym go odprowadzał nie przeczuwając, że na zawsze. Do końca będę nasłuchiwał, wyczekiwał jak głupi do ostatniej minuty życia - nadaremnie!...

W tej chwili stary szlachcic czuje znowu w sobie mroźne powiewy obawy.

- On zupełnie o mnie zapomni - szepce zbielełymi wargami. - Ani razu o mnie nie pomyśli... Ale co.. nie pomyśli! On dobrowolnie, umyślnie zerwie, przestanie pisywać, zaprze się. Ogarną mu umysł jakieś wyobrażenia. Co to jest ojcostwo? - zada sobie pytanie jakiś filozof nowoczesny. Nagromadzi dowodów i wykaże z oczywistością nieodpartą, że ojcostwo to złudzenie uczuć, to pewien nawyk moralny, który dla takich a takich przyczyn wytrzebić by z dusz warto. Może nawet... o, rozpaczy!... będzie miał słuszność! Nie będzie wcale podły ani głupi, tylko wykształcony. Nikt go za to nie skarże, nikt nawet nie obwinia. Jakież jest na to prawo?

Trzeba się ratować - mówi starzec załamując ręce.

Zimny pot spływa mu z czoła, serce uderza twardym, głośnym, powolnym tętnem. Za pomocą siły ducha, mocnej a cienkiej, jakiejś jaźni nagle skupionej i wyłamanej z głębi istoty moralnej, stara się zbadać swój rozum, podniecić go, wyćwiczyć i wyostrzyć do walki z sofizmatami syna.

- Ja cię nauczę, błaznie, ja ci wytłumaczę, ja cię przekonam, że łzesz - mówi głuchym i twardym głosem.

Bolesny, natężony, bezowocny paroksyzm poznania podpowiada mu zdania cudaczne i plugawe. Starzec chwyta je i pomija, szuka innych i znowu tropi coraz nikczemniejsze

myśli synowskie, zupełnie tak, jak ogar tropi ślady samy podczas zamieci zimowej, gdy wichur je zwiewa.

- Chemia ma swoje psie figle... Dlatego leci na koniec świata. Cóż znaczy stary jakiś dziad, któremu los odbierał po kolei wszystko, aż do ostatniej szmaty odzieży i ostatniego złudzenia!

Wszystkimi potęgami ojcowskiego serca klnie tę naukę. Jakaś umiejętność, coś, czego nie można ani zniweczyć, ani nawet nienawidzić - porwało chłopca jak śmierć.

- Oddaj mi go! - skamle - wypożycz na jeden dzień cały. Więcej nie chcę.

Gdzieś nieskończenie daleko, w zaspach śniegu rozlega się świst przelatującego pociągu, nagły, przesywający jak wołanie na pomoc. Potem nastaje znowu cisza głęboka. Blask księżycowego światła z wolna się przysuwa do łóżka starca, który zwinąwszy się w kłębek miota się, płacze w tym ciemnym kącie i mruży monotonną, żalną swoją skargę.

* * *

Pan Teodor Bijakowski (vel Bijak) ukończył Instytut Komunikacji w tym właśnie okresie, kiedy nieuniknione warunki ekonomiczne roztworczyły pugilares szepcząc: zagrabiaj, o piękny posągu!... Nie tylko tendencja pisarstwa śpiewała kantatę na cześć inżyniera i oświetlała jego postać ogniami bengalskimi, ale jeszcze, na domiar szczęścia, panny mądre, które, jak wiadomo, najsprytniej umieją zwąchać ducha czasu, zapaliły zniecka lampy swe, odsłoniły łona łabędzie i czuwając oczekiwały na kołatanie pozytywnego obłubieńca. Pan Teodor zrozumiał jeszcze dokładniej niż panny ducha czasu i postanowił ożenić się odpowiednio. Bywał tedy w domu bogatego warszawskiego powroźnika, uroczą córką którego pielęgnowała w pamięci swej kilka pierwszych stron z dzieła Buckle'a.

Pan Teodor urodził się w mieście Warszawie, bodaj że na Krochmalnej ulicy, gdzie ojciec jego skromny, ubogi, ale chędogi szynczek narożny utrzymywał. W latach pacholecych bawił się mały Teoś wraz z czeredą młodszego i starszego rodzeństwa, że tak powiem, w rymsztoku, wybijał szyby sąsiadom starozakonnym i byłby był pozostał na zawsze w stanie barbarzyństwa, gdyby nie jedna szczęśliwa okoliczność. Oto właścicielka domostwa, gdzie mieścił się instytut starego Bijaka, dama draśnięta zębem czasu i przedziwnie uczuciowa, dostała pewnego pięknego poranku celny strzał z procy naciągniętej ręką małego urwipółcia. Kamień utkwiał w samym koku i przyprowadził podstarzałą pannę o kilka dni płaczu i cierpień moralnych.

Rozkazała przywołać do siebie Teosia, patrzała nań długo, a wreszcie rzekła:

- Pójdź, dziecko, ja cię uczyć każę.

Chłopiec był nadspodziewanie zdolny, w lot naukę w sztubie pochłoniął i w sekrecie nawet przed zapijającym wszelkie sprawy Bijakiem-seniorem zdał do gminazjum. I tam szedł z nagrodami z klasy do klasy, cicho i skromnie. Opiekunce na imieniny pisał laurki, całował kolana i ręce, a po jej śmierci musiał, sierotka, wiele nacałować mankietów, nim wreszcie zdał do Szkoły Głównej, ukończył wydział matematyczny i przy pomocy tych i tamtych dostał się do Instytutu.

Wszystko to gładko mu poszło. Nie będę opiewał wszystkich jego promocji, przygód,

zachodów, zmian sposobu myślenia i miejsc pobytu - dość będzie, gdy powiem, że budował wiele pięknych mostów, dużych dworców, wielką ilość dystansów i że, nim uptynęło lat dziesięć od ukończenia studiów, posąg nasz miał już kilkadziesiąt tysięcy rubli ulokowanych bezpiecznie i świetnie. Do posad przy eksploatacji nie kwapił się, wolał zawsze trzymać z grubymi rybami i asystować przy budowie dróg nowych. Pieniądze płynęły do jego kieszeni szerokim łożyskiem: drobna niejednokrotnie usługa, słówko zgrabnie pochlebne, dzielna, niewinna na pozór operacyjka, co więcej, szczęśliwy dowcip warszawski - napełniały na nowo pugilares, po jakiejś inżynierskiej bachanalijce chwilowo opróżniony. Nie mówię o rezultatach głęboko i systematycznie obmyślanych planów działania...

...Wśród uśmiechów losu inżynier nasz, wyznać trzeba, nie zapomniał o ubogiej rodzinie z Krochmalnej ulicy. Prowadzał za sobą kohortę nie tylko braci, ale bliższych i dalszych kuzynów, z których każdy już po tygodniu operowania pod okiem dobroczyńcy chadzał przy zegarku i rujnował się na modne haweloki. Na południowym wybrzeżu Krymu pan Teodor posiadał wytworną willę, gdzie królowała pięknie rozkwitła małżonka jego, czytelniczka niegdyś Buckle'ów i Millów. Cudownie tam było: w oddali falowało morze, dookoła rozścielał się las podzwrotnikowych krzewów. Zdawało się, że pan Teodor do końca życia będzie sobie w wolnych chwilach odczytywał to tę, to inną stronicę Dekameronu (mądre bowiem księgi rozdał na pamiątkę niewyspanym telegrafistom), gdy oto niespodziewanie zjawił się demon niepokoju...

...Wówczas właśnie poczęto w kraju budować drogę żelazną - pan Teodor zjawił się i wziął nowy dystans.

Zaraz po objęciu robót przyplątał się do niego zrujnowany do szczytu obywatel ziemski, Dominik Cedzyna. Początkowo pełnił na budującym się placie obowiązki zwyczajnego dozorczy, poganiacza ludzkiego stada, później zaskarbił sobie względy naszego przedsiębiorcy i do innych celów użytym został. Dziwnie wyglądał ten elegancki, wyprostowany starzec z miną pana, zawsze wytwornie i czysto ubrany, gładko uczesany i wygolony starannie, kiedy stał w pobliżu drzwi wobec Bijakowskiego rozwalonego niedbale na krześle. Inżynier doświadczał demokratycznej rozkoszy trzymając przy drzwiach byłego panka i mówiąc do niego: „pójdiesz mi, mój panie Cedzyna” ...albo: „tyle już razy mówiłem panu Cedzynie”... albo: „trzeba być mazgajem, panie ten... panie Cedzyna”.

Twarz starego szlachezca nie zdradzała nigdy ani śladu gniewu, ani cienia obrazy, ani pozorów zdziwienia. Czasami tylko po zaciętych jego wargach przemykał się tęskny, dziecięcy niemal uśmiech, czasami wypływałe oczy zachodziły mgłą jeszcze bardziej i zdawały się nic nie widzieć. Nigdy wszakże żące go upokorzenie nie wynurzało się na zewnątrz w dźwięku mowy lub treści słów.

- To także honor, to punkt honoru - myślał. - Ja i tak pan, a tyś i tak cham!...

Miał ten człowiek jedną tylko pociechę i nadzieję. Skoro nadchodził wieczór, gdy robotnicy, zlani do suchej nitki potem, rzucali łopaty i zjadłszy strawę padali w sen kamienny, gdy panowie inżynierowie zasiadali do winta - Cedzyna szedł wzdłuż plantu do sąsiedniego miasteczka.

Głowa jego podnosiła się wtedy dumnie, oczy nabierały blasku, usta szeptały: „Piotruś... ach, Piotruś”.

Pukał do okna pocztmistrza i ugrzecznionym, bojaźliwym głosem pytał, czy nie ma listu do Dominika Cedzyny. Jeżeli ten list upragniony otrzymał, oddalał się szybko, piesz-

cząc kopertę palcami i do warg ją przytulaj~c. Potem w swej nędznej izdebce stawiał świecę przy łóżku i zaczynał czytać. Czytał powoli, w sposób dziwaczny: nie przebiegał oczyma od razu całego listu, lecz wykradał jedno, dwa zdania, kilka słów - i składał pismo. Czasami koniec listu odczytywał dopiero trzeciego dnia po otrzymaniu. Gdy mu dokuczono, gdy go obrażono, gdy czuł, że mu klatkę piersiową coś gniesić zaczyna niby obręcz żelazna i krew uderza do głowy - macał boczną kieszeń surduta, gdzie nosił paczkę listów od syna - i odzyskiwał spokój. W każdej chwili wytchnienia, podczas obiadu czy chwilowej przerwy w robocie, wydobywał arkusik i wmyślał się w jakieś zwyczajne zdanie. Wtedy uśmiech łagodny jak promyk słońca wypogadzał jego twarz drewnianą i skrzepłą na niej troskę niweczył.

W odległości wiorsty od dźwigającego się nasypu, stanowiącego część dystansu pana Teodora, sterczało pośród pól wyniosłe wzgórze porośnięte jałowcem i uwieńczone szarym, zębatym grzbietem skał wapiennych. Góra należała do folwarku Zapłocie, a folwark do niejakiego pana Juliusza Polichnowicza. Inżynier zwrócił uwagę na owo wzgórze zaraz po rozpoczęciu robót, zbadał skały, znalazł w nich obfitość węgla wapnia i niewielką ilość obcych przymieszek, dostrzegł, że zbocza i osypiska wykazują piękne pokłady wyborowej gliny - toteż w kilka dni po przyjeździe zabrał ze sobą pana Cedzynę i pojechał do folwarku Polichnowicza. Zmierzch zapadał, kiedy furmanka zbliżała się do Zapłocia. Folwark stał u samego podnóża góry. Zabudowania otaczał szeroki czworobok usychających topól. Budynki były w stanie opłakanym: waliła się w gruzy stara gorzelnia i wyciągała ku niebu obdarte z poszycia krokwie jak kościotrupie piszczele, nachylały się ku ziemi dachy stodół, tu i owdzie sterczały żerdzie rozwalonych płotów. Kamienista i urozmaicona zatrważającymi wyrwami droga mijala pewien rodzaj bramy i prowadziła przed dwór. Ogromny, czarny dach domostwa zjeżdżał ze ścian w tył i jednym swoim krańcem dosięgał prawie ziemi.

Kiedy wasąg naszych przedsiębiorców zatrzymał się przed gankiem, w dwu oknach błyszczało światło. Jakaś figura zjawiała się we drzwiach.

- Czy to ty, Szulim? - zapytał głośno stojący na progu.
- Nie, to nie Szulim - odpowiedział Bijakowski. - Czy dziedzic jest w domu?
- Któż tam, u diabła?
- Czy dziedzic tutejszy jest w domu? - Dziedzic?
- Można się z nim widzieć?

Osoba znikła i jednocześnie prawie światło w oknach zgasło. Wędrowcy nasi wstąpili na ganek, lecz znaleźli drzwi zamknięte. Bijakowski zastukał.

Żadnej odpowiedzi.

- Dziwna rzecz! - zauważył pan Dominik.

Inżynier zeszedł z ganku i zajrzał za węgiel dworu szukając innego wejścia. Musiały tam być jakieś drzwi, biegano bowiem tamtędy, białe postacie wsuwały się do dworu i wymykały do ogrodu, dźwigając jakieś ciężkie przedmioty, coś w rodzaju szaf, luster, kanap, stołów, łóżek, obrazów.

- Nadzwyczajny dom - mówił do siebie zaciekawiony do żywego bourgeois. - Ten obywatel wyprowadza się widocznie, czy co u licha?... o tej porze... panie Cedzyna...

Pan Dominik pokiwał melancholijnie głową i cicho westchnął.

Spomiędzy pokrzyw i kęp bzu wysunęła się wreszcie jakaś babina, podeszła do Bijakowskiego i bezczelnie zaglądała mu w oczy.

- Coście to za jedni, ludzie? Skądście?

- Jesteśmy z kolei, chcemy rozmówić się z tutejszym panem - mówił do niej pan Cedzyna. - Mamy do pana interes. Chcemy od niego kupić kamień... Słyszysz? Jest ten wasz pan? można go widzieć?

- Pana niby? - namyślała się baba. - Naturalnie, że nie ciebie...

W tej chwili wynurzył się z mroku cień inny.

- Panowie kolejarze... aha... Proszę, bardzo proszę... Maryna, rypaj zapalić lampę. Każ wnosić na powrót. Proszę panów... jestem Polichnowicz.

Drzwi prowadzące z ganku do sieni otwarły się znowu i przybysze wprowadzeni zostali do obszernego pokoju o bardzo niskiej powale. Stało tam mnóstwo mebli i sprzętów w szczególniejszym ugrupowaniu: komoda wysunięta była na środek pokoju, na niej Leżało kilka obrazów w grubych, złożonych ramach i lustro, stół zarzucony był stosem rzemieni, uzd, batów, szpicrut, popręgów, torb myśliwskich z przyborami do polowania; roztwarty kufer odsłaniał wnętrze pełne brudnej bielizny i zniszczonej odzieży. Na łóżku okrytym podartą kołdrą spoczywało olbrzymie psisko z rodziny dogów, a na wygniecionej kanapie spał maleńki kudłaty piesek. Gospodarz usiłował za pomocą forsownego wykręcania knota wydobyć z zakopconej lampki większy płomień. Był to młody człowiek, lat około trzydziestu, „nieco przygarbiony, o twarzy wywiędłej i zużytej.

- Siadajcie, panowie - mówi zrzucając z krzesełek na ziemię porozmiatane części męskiego odzienia i przysuwając kulawe krzesła gościom. - U mnie tu cokolwiek po kawalersku, ale bo to z tymi sekwestраторami... Fintik! won, podlecuc!...

Kudłaty piesek podniósł łeb niechętnie i machając ogonem zsunął się na podłogę.

- Proszę pana - zaczął Bijakowski - taki jest nasz interes: Do pana należy góra, w pobliżu której prowadzimy plant kolejowy?

- Góra? „Świńska Krzywda”? no, do mnie należy... i cóż z tego?

- Pan z niej żadnego zysku nie ciągnie?

- Jakiż ja zysk mogę ciągnąć z takiej góry? Kpisz pan czy co? - Pastwisko pewnie - wtrącił pan Cedzyna nieśmiało.

- Jakie pastwisko! - oburzył się Polichnowicz. - Kamień na kamieniu i trocha jałowcu. Miejsce ustępowe dla trznadli... chciałeś pan chyba powiedzieć. Ale co panom znowu do tej góry?... Fintik! won, podlecuc!...

Piesek zeskoczył znowu z kanapy, na którą się był wdrapał. - Krótko mówiąc - ciągnął inżynier - ja bym kupił od pana kamień z tej góry i prawo wybierania gliny. Czy zgadza się pan?

- Kamień? A prawda... Owszem, panie dobrodzieju, z największą przyjemnością.

- I co by też pan żądał?

Polichnowicz zaczął kręcić w palcach papierosa, założywszy nogę na nogę w taki sposób, że końcem śpiczastego buta dotykał prawie swego nosa i - milczał. Dopiero gdy załatwił proces umieszczania papierosa w cygarnicy i otoczył się kłębamii dymu, wypalił śmiało:

- Odstąpię panu za ośmset rubli.

Bijakowski zaczął się śmiać krzykliwie:

- Siedmset rubli!... bagatela! I to za miejsce ustępowe dla trznadli... Cha!... cha!... wie pan, co...

- Nie siedmset, lecz ośmset rubli! Mów pan, co dajesz! Nie lubię, gdy mi się kto w nos śmieje! Fintik! wyrzucę cię za drzwi, kpie jeden, i tyle u mnie zarobisz...

Piesek znowu zlął z kanapy. Bijakowski spoważniał i nadał się.

- Pan sądzisz, że masz z frajerem do czynienia - mówił młody obywatel przymrużając lewe oko. - Ja, panie, jestem dublańczyk i wiem, co jest warta taka glinka zmieszana z pewną ilością piasku, bynajmniej nie tłusta... Znajdź pan tu w okolicy taką glinę i taki kamień.

- Kto wie?... może i znajdę - powiedział inżynier wstając i zabierając się do wyjścia.

- No... cóż pan dajesz?... niech słyszę.

- W każdym razie nie więcej nad sto rubli. Pan Polichnowicz wpadł w głęboką zadumę.

- Dawaj pan na rękę dwieście rubli... i niech tam diabli!...

- Nie, panie - rzekł zimno Bijakowski.

- No, to trudno... Dajesz pan sto pięćdziesiąt?... Inżynier śmiał się pod wąsem ironicznie.

- Spiszemy kontrakcik... co tam!... Może herbaty?

- Ajno, herbaty! - odezwał się niespodziewanie głos z sąsiedniego pokoju. - Pan będzie częstował, a ja nie wiem, skąd panu wezmę tej herbaty... widzicie!

- Milczeń, małpo jedna! - rzekł Polichnowicz wcale nie odwracając głowy. - Może panowie kwaśnego mleka z kartoflami?...

- Nie, dziękujemy. Sto rubelków płacę, piszemy umowę na dwie ręce... jest świadek, pan Cedzyna...

- Pan Cedzyna! - zawołał młody człowiek obrzucając gościa ognistym spojrzeniem - pan Cedzyna z Kozikowa?

- Tak, niegdyś...

- Cóż znowu? Już pana wyleli. Cha, cha!... To dopiero pogrom na ziemiaństwo! Kolej panu dobrodziej teraz budujesz?...

- Pracuję - odpowiedział skromnie pan Dominik.

- Phy!... a no, cóż robić!... piszmy ten kontrakt. Będzie przynajmniej co wsadzić jutro w zęby panom starozakonnym. Spisano kontrakt - i późno w noc przedsiębiorcy opuścili folwark.

Po upływie kilkunastu dni u podnóża góry funkcjonowała maszyna do wyrabiania cegły, a na skałach roiły się ludzkie postacie. Inżynier zjawiał się na szczycie góry i rozciągający się u stóp jej obszar ciekawym i zamyślnym obejmował okiem.

Był koniec sierpnia, czas orki. Na polach Polichnowicza panował zupełny spokój. Bijakowski nie znał się na gospodarce rolnej, z mazołem odróżniał pszenicę od jęczmienia w kłosie, zastanawiała go wszakże szczególna predylekcja dziedzica Zapłocia do ugorów. Te długie, szare smugi gruntu, pokarbowanego niegdyś przez równe zagony, sprawiały wrażenie jak cementarz smutne. Gdzieś tam jednorodną barwę odłogu przerywało półko ścierniska albo kartofli -za nimi ukazywał się on znowu i ginął aż w oddali, jednocząc się z nieużytkami i pastwiskiem.

Młody dziedzic przychodził codziennie na górę, siadał na kamieniu, ćmił papierosa za papierosem i gawędził.

- Pański folwark - mówił do niego Bijakowski pewnego razu - widziany z tej góry, podobny jest do trupa.

- Dobrze, dobrze... Do trupa! Wziąłem po ojcu folwark źle prowadzony, musiałem zaprowadzić płodozmian umiejętny... - Płodozmian? Gdzież tu i jakie płody pan zmieniasz? Tu żadnych płodów wcale nie ma.

- Jak to nie ma?

- Nie znam się na tym, ale nie widzę ani żyta... - A bobik?

- Co za bobik?

- No i bierzesz się pan do krytykowania! Widzisz pan ten pas zielony?

- Cóż panu przyjdzie z pasa zielonego albo i z samego tam bobiku? Żyta nie widzę.

- A tamto ściernisko to po czymże?... po kapuście z baraniną?

- Ależ to chłop przecie dwa razy więcej żyta wysiewa!

- Bo chłop niszczy glebę, sieje żyto po życie... Chłopu pan pozwól tylko, to panu na Placu Teatralnym „zimioków” nasadzi, ale wcale z tego nie wynika, abyśmy miei, idąc za jego przykładem, wyniszczać grunta. Tu rzeczywiście trzeba trochę mieć kapitału...

Nie pamiętam dokładnie, jak się to stało, dość że nadeszła ta chwila. Gdy pierwsze lokomotywy świstać poczęły na nowej drodze żelaznej, Jules Polichnowicz wyjeżdżał z Zapłocia, unosząc w podróżnym saku kilka setek rubli. Folwark z ugorami, pustymi stodołami i litanią długów stał się własnością inżyniera Bijakowskiego. Nowy dziedzic przez czas pewien spoglądał z rozkoszą na pochylone pola, zapadający się w ziemię dwór starszłachecki i wysokie topole z uschniętymi szczytami. Własny majątek! Stare domostwo - marzył - przeznaczy się dla rządu; na wzgórzu, frontem do plantu, wzniesie skromny, ale stylowy pałacyk. Zbyt długo wszakże inżynier nasz był człowiekiem praktycznym, aby

idealne marzenie o pałacyku usunąć mogło na plan drugi myśl o ugorach. Co począć z tymi ugorami? Czyliż doprawdy osiąść w takim Zapłociu i zacząć uzbierane pieniądze „wkładać” w bruzdy, stodoły, owczarnie? Jeździć co niedziela z rodziną do wiejskiego kościoła, zasługiwać się Panu Bogu, aby żyta gradem nie wybijał i strzegł od podpalacza?

Przyjechać na lato do siedziby wiejskiej, obserwować z małżonką zachody słońca, uganiać się (wraz z tąż małżonką) po pachnących łąkach za różnobarwnymi motylami, czytać Giovanni Boccaccia w cieniu lip odwiecznych, nawet kielbie łowić na wędkę w strumieniu - słodkie to są przejemności, ani słowa; ale siedzieć tu zimą i łypać oczami na przebiegające pociągi - to co najmniej nierozsądek.

Zupełnie inne uczucia miały duszą pana Dominika Cedzyna. Nabycie przez inżyniera folwarku dało mu nadzieję otrzymania posady rządcy, powrotu na wieś, do roli, rozporządzania się, jak tego dusza pragnie, mieszkania pod strzechą starego dworu. Toteż zasługiwanie się jego Bijakowskiemu, posłuszeństwo i niemiłosierna pilność przechodziły wszelkie granice.

Ten pan inżynier wie dobrze - myślał stary szlachcic - co wart jest pan Cedzyna. Wie, że to nie dorobkiewicz goniący za zyskiem; wie, że taki Cedzyna zdechnie z głodu, a nie ruszy tego, co należy do dziedzica; że wypruje ze siebie żyły dla tego, komu służy, bo to jest człowiek posiadający nie znany dzisiejszym ludziom przymiot, śmieszny maleńki przymiot starszszlachecki - honor.

Nie spełniły się nadzieje pana Dominika.

Zjawili się „indywidualiści” i zaproponowali inżynierowi rozparcelowanie folwarku. Po głębokim namyśle, po spłaceniu długów - Bijakowski rozprzedał ugory pozostawiając sobie zabudowania, skalistą górę i mały skraweczek ornego gruntu poza ogrodem.

Do niepoznania zmieniła się postać tego kawałka ziemi. Kudłaci indywidualiści zwlekli się wkrótce na pola folwarku wraz z żonami, dziećmi, sprzężajem i dobytkiem. Chude szkapę osadników ciągnęły z lasu belki i gonty, koła wozów żłobiły nowe drogi wzdłuż dzikich miedz; wybierano studnie, grodzono płoty i na gwałt wznoszono domostwa. Po całych dniach słycać było łoskot siekier. Kwaśne pastwiska, porośnięte nędzną, kędzierzawą trawką, które, historycznie rzecz biorąc, od czasów kołodzieja Piasta aż do dublańczyka Polichnowicza służyły tylko za miejsce igrzysk i spacerów dla bystronogich zajęcy, pustki podleśne i obumarłe ugory nabrały teraz tak wielkiej wartości, że się stały częścią składową wielu istnień ludzkich. Liczne oczy wpatrywały się w te kawałki ziemi z niepokojem i serca osnuwały na nich nadzieje.

Gdy nadeszła wiosna, wyszły na ugory pługi i odwróciły skiby przerośnięte murawą...

Gdy nadeszła wiosna, u podnóża góry, noszącej w mowie gminu nazwę „Świńskiej Krzywdy”, buchały wielkie kłęby dymu. Przyparty do zbocza góry olbrzymi cylinder szachtowego wapiennika wyrzucał w mokre mgły snopy iskier. Długa, nad przepaścią zawieszona ława łączyła okopcony szczyt komina z podnóżem białych turniczek. O kilkaset kroków dalej, bliżej dworu, wznosił się wysmukły, czerwony komin cegielni.

Smugi dymu, płynące po przestworzu niebieskim, wywabiły z dalekich wiosek, w lasach ukrytych, gromadę bezspodniowców z zapadniętymi brzuchami i wydłużonym przewodem pokarmowym wskutek bezwstydnego przeładowywania go samymi kartoflami. Przyszli i stanęli przed obliczem twórcy cywilizacji. Inżynier wejrzał okiem mędrca na ich wywiedle kadłuby, na brudem obrosłe ich dzieci, na znikome resztki spódnic ich żon, có-

rek, kochanek - i miłosiernie wyznaczył im miejsce w postępie ludzkości.

Ze żrznów od belek pobudowano lokale mieszkalne w miejscach przez inżyniera wskazanych i poumieszczano tam przybyłych. Zwierzchnictwo nad całą produkcją objął pan Dominik Cedzyna, osadzony w dwu mieszkalnych izbach dworu. Inżynier opuścił dziedzictwo i udał się tam, dokąd powoływały go nieuniknione warunki ekonomiczne. Przed wyjazdem nauczył starego szlachcica, jak się ma zapatrywać na sprawy społeczne, gdzie zakładać kopalnie gliny, jak zsypywać do pieca bryły kamienia i formować z nich sklepienie, jak poznawać po mocnym świetle wapna, że kwas węglany wypędzony z tych brył został, jak unikać tworzenia się „wilków”, jak normować płomień wchodzący do pieca z oddzielnych ognisk - itd.

I popłynęły jednostajne, równe i bardzo długie dni rzetelnej pracy. Nadzorca wstawał o świcie, budził i prowadził do roboty czeladkę, a późna noc przypędzała go dopiero do starej rudery.

Odwieczne kamienie jęczały pod młotami, waliły się całe urwiska niestrudzonymi uderzeniami podkopywane, zlatywały ze szczytów i kruszyły się na drobne cząstki ogromne bryły, podważone wysiłkiem ramion. Głębokie miejsca wszczępienia i oparcia żelaznych dragów, żłoby i garby wykute dziobem ciężkiego kilofa, pozostały na zawsze, świadcząc, ile tam człowiek włożył siły mięśniowej. Za pomocą dwu dźwigni - drağa i oskarda - zepchnięto z posad całe skały, zdruzgotano kolosalne formacje. Braki narzędzia zastąpił prostacki „sposób” na przyrodę, wymysł nie mózgu, ale raczej mięśni. Codziennie o świcie zaczynało się to spotkanie siepaczy z kamiennymi masami, które, nim uległy zuchwałej napaści człowieka, mściły się na nim, czyhały na każdą chwilę jego nieuwagi, na każdy moment omdlenia. Nawisłe złomy, gdy rozpętano nieopatrznie ich utajoną energię, zlatywały niespodziewanie jak uderzenie piorunu, zabijając i kalecząc; każdy głaz, zanim wtrącony został w czelusć pieca, do ostatka ranił, gniótł, karał ciężarem, twardością, ostrą powierzchnią, parzył ogniem i dusił dymem, jak wróg śmiertelny wyzerając życie.

Bezkształtne obnażenia warstw głębokich i ułamane wierzchołki stoją na tym pobojo-wisku jak płyty grobowe i jak sarkofagi. Szarugi jesienne i wichry zimowe wyłabiają na ich powierzchniach tajemnicze znaki - może imiona „rycerzy kultury”, co tam poległ w boju z przyrodą.

Pan Dominik zasnął dopiero nad ranem. Nie był to posilny odpoczynek, lecz starcze półczuwanie. Zjadliwa, błędna boleść nie usunęła się, nie ukojła, lecz jak topór kata, ciężka i nieujęta, wisiała w postaci snu nad znękaną jego duszą. Śniło mu się, że stoi na rozmięklej grobli, u brzegu zamrożonego stawu. Lód na nim był siny, kruchy i nasiąkły wodą. Nagle zobaczył idącą ku niemu z przeciwnego końca stawu postać omgloną. Widmo szło, lekko się kołysząc, zgrabne zataczało koła, ledwo-ledwo dotykając stopami gładkiej powierzchni. I oto - w mgnieniu oka - zobaczył tuż przy brzegu, prawie u stóp swoich, falę zwijającą się ogromnym kłębem, lód popękany na drobną krę, a na wodzie rozmoczone, jasne jak len włosy. Cudne kędziory młodzieńcze to rozbiegały się na wodzie, tworząc jakoby koronę, to lgnęły kosmykami do czoła, do jasnego czoła Piotrusia. Starzec usiłuje krzyczeć, ale gardło ma ściśnięte i zatkane jakby skrzepami zsiadłej krwi; chce rzucić się w wodę, lecz, nie wiedzieć czemu, nie może jej dosięgnąć. Zanurza wreszcie ręce po łokcie i czuje zimno, ścinające, okropne, śmiertelne zimno w żyłach, w piersiach i w sercu. Gdyby mógł wydać jęk, jeden tylko jęk, jeden okrzyk... gdyby chociaż mógł westchnąć...

Brzask zimowego świtu ubielił zamrożnięte szyby. Dał się słyszeć łoskot drzwi roz-

twieranych w czworakach, odgłos skrzypiącego stapania po zmarzniętym śniegu i rozmów ludzkich. Pan Cedzyna się ocknął i ciężkim wzrokiem powiódł po swej izbie. Małeńka miara pociechy spłynęła do jego duszy, gdy się uświadomił, że to, co widział przed chwilą, było snem tylko. Niestety! to, co czuł przed chwilą, ciągle trwało... Przedsenne zgryzoty rzuciły się nań znowu i jak mściwe, rozzłoszczone pszczoły wciąż poczęły jego serce. Obejmowała go złowieszcza niechęć do tej izby, do nadchodzącego dnia, może do siebie wreszcie.

Na pół rozebrany usiadł na łóżku i tępym, bezsilnym wzrokiem patrzył w kąt pokoju. Niedosłyszalnie dla samego siebie, zaledwie ruchem warg - wymówił:

- Żeby to już raz, do cholery... umrzeć...

Rozległo się stukanie w szybę, jakim jeden z robotników pełniący obowiązki stróża dawał znać nadzorcy, że idzie z naręczem drew palić w piecu. Pan Dominik nie poruszył się. Dziki wstręt i bezmyślna nienawiść zaciskały jego pięście. Wszystka jego inteligencja osiadła na jednej trzeźwej myśli:

Żeby to już raz...

Stukanie w szybę powtórzyło się i nieznany głos zawołał: - Czy pan Dominik Cedzyna jest w domu?

Stary zerwał się na równe nogi. Wszystko jedno, kto to stuka - byleby ktoś obcy, jakiś człowiek nieznany, byleby nie ten parobek w cuchnącym kozuchu. - Panie Cedzyna! - zawołał ktoś zza okna.

Wszystka krew spłynęła nagle do serca starowiny. Pośpiesznie wciągnął długie buty, zarzucił na ramiona lisiurę i pobiegłszy na palcach do okna zaczął chuchać na szybę i wycierać w szronie okrągły otwór. Naraz przerwał tę czynność i raptownie odwrócił się do ściany. Zgiął się w pałąk, oczy mu zaszyły bielmem, twarz skurczyła się boleśnie, ręce zacisnęły spazmatycznie - i mówił, nie wiedząc do kogo, cichym, równym głosem: - Jeżeli tam, za oknem, jest Piotruś, to ja oddam... ty wiesz, że ja nie skłamię... ja ci oddam...

Raz jeszcze mocno, mocno ścisnął sobie ręce i spokojnie poszedł ku drzwiom. Odrzucił haczyk i wyszedł do sieni, szeroko otworzył drzwi na ganek i stanął w progu. Na ścieżce stał młody człowiek w krótkim paltocie, z walizką podróżną w ręku. W niebieskim mroku przedświt stary nie mógł rozpoznać rysów jego twarzy, ale tamten posunął się o krok naprzód i wymówił cicho, z niewypowiedzianą słodyczą:

- To ojciec.

Stary Cedzyna głucho szlochając wyciągnął ramiona i ogarnął przychodnia długą, czułą i nienasyconą pieśczętą ojcowską.

Potem zaczął go forsownie ciągnąć do pokoju, bełkocząc pojedyncze sylaby wyrazów urwanych i połkniętych razem ze łzami. Wydarł mu z rąk walizkę, rozpiął palto, wystawił ze szafy na stół wszystkie butelki z octem, z naftą, z terpentyną i gorzałką, szukał kieliszka w stosie rzemieni i żelastwa leżącym w kącie izby i ciągle dygocącymi usty mrucał:

- Pisał... do Anglii... do miasta...

Doktor Piotr wodził za starcem załzawionymi oczyma i nie mógł przyjść do słowa. Na-

reszcie pan Dominik oprzytomniał. - Zziąbleś... co? - zapytał nakrywając oczy dłonią, jakby patrzył pod słońce.

- Nie...

- Ale! gadanie! Zaraz ja w piecu napalę.

Skoczył ku zapieckowi i począł wyrzucać suche drwa na środek pokoju. Zaczerwieniony i zziębnięty kładł je później do pieca.

- Niech ojciec da pokój - przerwał mu młody doktor - tu ciepło. Ja bym się, szczerze mówiąc, przespał trochę.

- Święta prawda! Niespodziewany cymbał ze mnie starego! Malec jechał tyli świat. Chodź, przyniesiemy sofę... mam jeszcze naszą zieloną sofę... wiesz... zieloną...

Weszli do sąsiedniej, zimnej izby, zawałonej przeróżnymi stątkami i rupieciami, i przydźwigali do pierwszej starożytną, familijną sofę z wierzchem ruchomym.

Pan Dominik rozpostarł na niej swoją pościel i ułożył syna do snu. Sam, zabawnie wykręcając nogi, aby stąpać na palcach, wyniósł się z mieszkania. Zaledwie doktor Piotr przyłożył głowę do poduszki, zapadł w senne marzenie, jakie jest skutkiem zmęczenia się długotrwałą jazdą w wagonie. Powieki mu się kleiły, ale nie dawał mu zasnąć mocno jakby nieustający trzask dzwoneczków elektrycznych, utajony w nerwach. Na niezliczonej ilości stacji kolejowych dzwoneczki te biły za szybami wagonu głosem cichym, przesywającym, natarczywym i okrutnym, aż zaczęły dzwonić w uchu bez przerwy. Zdawało mu się, że wciąż trwa jeszcze ostatnia, a trzecia z rzędu noc spędzona w wagonie. Drzemie nie pod strzechą ojcowską, lecz w wąskim przedziale, z głową opartą o drżącą drewnianą ścianę. Słyszy jeszcze łoskot kół bijących w końce szyn, skróconych od mrozu, gdy pociąg gnał na północ od Oderberga - i to ponure dudnienie skostniałej ziemi, co głucho stęka pod szynami: - to ja, to ja, to ja... Widzi do tej chwili pod przymkniętymi powiekami nagi, rozłożysty, nieobeszły krajobraz, jak go zobaczył wtedy, przycisnąwszy twarz do szyby - tę pustynię przywaloną zaspami. Daleko, w wielkim świetle księżyca słabo czerwienią chłopskie chałupy. Długim szeregiem stoją na widnokręgu - het - het... W piersi wędrowca bije nie jego własne męskie serce, co już złudzeń przeboleło tyle, ale serce dziecka, dostępne dla dawno minionych trwóg i boleści. Jak kolka tarniny przebija je dziecięcy żal czy wielka skrucha, i wylękłe usta szepczą:

- Panie, nie jestem godzien...

Pan Dominik powrócił na paluszkach, niosąc wiązki suchych szczap, i począł palić w piecu. Doktor jak przez mgłę widział jego zgarbione plecy i siwą, krótko przystrzyżoną czuprynę. Chwilami wydawało mu się, że ta droga głowa usuwa się i niknie, pozostawiając po sobie tylko duży cień przełamany na ścianie i suficie. Morzył go przerywający się, płochliwy sen... Kiedy się na pół przebudził, przed piecem siedział, jak poprzednio, starzec twarzą zwrócony do ognia. W pobliżu drzwiczek tliła się już zaledwie kupka węgla. Wiotka, jasnioletowa perzyna powlekała ją z wolna, a po niej migały raz za razem różowe, pełzające iskierki. Pan Dominik przypatrywał się iskrom i ruszał wąsami, jakby tym błędnym światelkom opowiadał tajemnicze historie. Co pewien czas wyciągał rękę i odgarniał kozuch śmietanki w garnuszku przystawionym do węgla.

U wezłowania doktorowego posłania stał stary zegar. Wahadło kołysało się nad samą jego głową. Kiedy pomykało na lewo, w cień, na upstrzonej przez muchy jego powierzch-

ni błyskał klinik światła. Wydawało się, że stary perpendykuł rozdziawia usta i pęka z radosnego śmiechu. Wewnątrz pudła, przysypanego wieloletnim kurzem, stuka nieustający chrzęst trybów, niby bicie serca zestarzałego gruchota. Melodia jego szeptu unosi się nad rozmarzoną głową śpiącego jak śpiew znajomy, rozkochany, tęskny i niewysłowienie słodki.

- Ty nie wiesz - śpiewa - ty nie wiesz, dziecko, co to jest tęsknota... Spójrz tylko raz, spójrz tylko, śpiochu, dźwignij powiekę. Widzisz tę łzę, co wytoczywszy się z oka starszego pana Cedzyny, jak łódź na końcu katapulty, zawisła na końcu najdłuższego włosa w jego lewym wąsie? Co to za ciężar, co to za ogromna łza, jaka monstrualnie wielka łza! Pac! - zleciała z łoskutem na przyszwę lewego buta. Co to? co to? - Wysuwa się druga, jeszcze ogromniejsza, jeszcze cięższa... Kap! - już wisi na wąsie. Starowina boi się bardzo, aby nie upadła na pogrzebacz i głośnym upadkiem snu twojego nie spłoszyła. Patrz, jak ją paradnie, jak śmiesznie i niezgrabnie zdejmuje z wąsa dwoma palcami.. Te łzy - gada stary zegar - były cieńszymi niż nitka pajęcza włókienkami w sercu, w tym miejscu, gdzie jest nigdy nie schnąca ranka tęsknoty. Było ich mnóstwo, a każda miała brzeżki ostre jak żądło komara. Siedziały jedna obok drugiej komunikiem i nosiły szumny tytuł lasecznika tęsknoty. Niejednemu te figlarne istoty wysały duszę, niejednemu odgryzały rozum... tak, tak, czcigodny organizmie... A ty, mocarzu, zadałeś im truciznę jednym jedynym synowskim uściskiem.

Każda skonała i rozpląnęła się w wielką łzę szczęścia. Ach, tylko pomyśl... gdyby choć jedna z tych łez upadła na twoją duszę! ... Ach, tylko pomyśl - wszak ona straciłaby cię z oblicza ziemi - ach, tylko pomyśl...

W pochodzie kólek i walców gadatliwego klekota nastąpił raptem jakiś kataklizm, jakby stary zegar przyciął sobie język własnymi zębami. Rozległ się tępy szcęk, zamieszanie, łoskot - i powoli, z majestatem niedołącznie naśladowującym głos kukułki, wybiła dziesiąta. Młody człowiek oczami na wpeł rozwartymi wpatrywał się w okno, odtajale w promieniach wesołego słońca. Widział skrawek równiny iskrzącej się od kryształów śniegu, smugę oddalonego lasu i kawałek przezystego, bladego nieba. Ogarnęła go jakaś boska fantazja. Czuł wyraźnie, że ta chwila, co przemija, ten ułamek czasu, co trwa między jednym a drugim poruszeniem wahadła - to najwyższy i najszczytniejszy, kulminacyjny moment, że to jedyny na całe życie zenit młodości! Cóż mogło być przedtem i co może być potem? Jakież uczucie można przyrównać do tego ostrego widzenia całej drogi życia, do tej twardej pewności: - To, co w tej chwili postanowię, będzie nie tylko mądre i godziwe, ale i dobre...

- Nie, nie pojedę do żadnej Anglii - myślał pan Piotr. -Nie nas brać na kawał! Odeślę belfrowi trzysta franków... przecie zarobię, choćbym miał gnój wyrzucać...

* * *

Po upływie kilku dni i nocy siarczyście mroźnych nastąpiła odwilż. Znikła cudna przejrzystość przestrzeni; opadły delikatne pyłki mrozu, kołyszące się nad twardymi jak kamień pokładami śniegu, zginął szron, różowy w promieniach słońca, co stroił suche szkielety topól, cienkie pręty porzeczek i obumarłe badyle wystające spod śniegu. Od rana kapwały z dachów wielkie, brudne krople; w powietrzu zawisły bałwany szarozółtej pary, przytlaczając sobą dym tułający się po dachach. Na krańcach widnokregu uwały się mgły nieprzejrzane na podobieństwo niezmiernych ciężarów, co zdołały wgnieść w ziemię i wzgórze, i lasy, i wsie odległe.

O godzinie pierwszej z południa pan Dominik powracał z powiatowego miasteczka wynajętą furmanką.

Chude chłopskie szkapięta brnęły w roztajałym śniegu; bosc sanice docierały do gruntu i sunęły po grudzie jak po maglownicy albo zataczały się w wyboje i zatoki. Stary jego- mość otulał się zrudziałymi szopami, nasuwał kaszkiet na oczy i ćmiąc niekosztowne cy- garo „myślał sobie”. Jeździł niegdyś czwórka wierzchowców i wspaniałymi saniami, z furma- nem w złotawej liberii, otulał się niegdyś kiereją, srogimi niedźwiedziami podbitą... Boże drogi! - ziemia drżała, janczary słyszeć było o pół mili, konie parskały, chłopcy i Żydy stały bez czapek... Phi... czy tam teraz jest gorzej - któż to wie? Nigdy przecie jazda sa- niami przez puste pola nie sprawiała mu takiej przyjemności jak dziś, kiedy jedzie chłop- skim wasągiem... W domu czeka pan doktor Piotr Cedzyna! Cha, cha!... Nuże, szkapy! bierzcie się w kupę! Jeszcze tylko jeden lasek, tylko mały wawozik pod Zapłociem.

Ciekawa historia - myśli pan Dominik - czy Piotrek zrobił i przepisał rachunki? Myślał, huncwot, że mu dam łązić całymi dniami po chałupach (pewno dziewczuchy niemieckiego uczy...) i baki zbijać. Aha... posiedź no waćpan, mości chemiku, nad prowentowym kał- kułem, pododawaj cyferki, napisz ładnym charakterem wykazy dla pana inżyniera, wyręcz starego ojca. Za darmo ci będę zwoził tytuń i tracił fortunę na sardynki?

Konie wbiegły na podwórze i zatrzymały się przed gankiem dworu. Pan Cedzyna wy- laził ze sanek i wszedł do sieni, z hałasem otrzepując buty ze śniegu. We drzwiach pokoju stał doktor Piotr.

- Co to? Ciebie, widzę, głowa boli! - zakrzyknął pan Dominik.

- Ale gdzież tam! - odpowiedział syn z przymusem. - A cóżeś taki blady i skrzywiony?

Młody człowiek miał w rzeczy samej minę niewesołą. Spojrzenie oczu jego dziwnie wyziębło i przyćmiło się smutkiem. Chodził z kąta w kąt, nerwowo paląc papierosa. - Każę ja Jagnie podać barszcz, to ty mi zaraz nabierzesz rezonu. Bez barszczu, mówię ci, człowiek zawsze kiepsko się czuje.

- Ja nie będę mógł jeść, a zresztą... mało mam czasu. - Mało masz czasu?

- Tak! - powiedział doktor Piotr szorstko; - ja... widzi ojciec... ja muszę jechać. Trudna rada... muszę jechać dla objęcia tego miejsca w Hull.

Pan Dominik nic nie rzekł. Nie zdejmując futra ani czapki usiadł na stoliku i zwiesił głowę. Nie zważał na to, co syn robi nic nie widział. Czuł tylko, że mu duszno, ciasno we własnych piersiach. Rad by był wyjść na świeże powietrze, ochłonać i zebrać myśli, ale nie mógł jakoś dźwignąć się z miejsca. Młody człowiek porządkował papiery i książki ra- chunkowe, rozrzucone na stole. Wziął w rękę niewielki, stary, zatłuszczony notes, obwią- zany brudną tasiemką, i przewracał w nim kartkę za kartką.

- Proszę ojca - rzekł z żalem i smutkiem w głosie - w tym notesie wyczytałem, że cięży na mnie dług, który muszę zapłacić bez zwłoki.

- Daj ty mi spokój, daj mi spokój! - odpowiedział stary Cedzyna opierając głowę na rę- ce.

- Zanim wyjadę, muszę ojcu wytłumaczyć, dlaczego powziąłem decyzję wyjazdu.

- Co ty wytłumaczysz, głuptasie, co? - porwał się starzec. - Jedź, jeśli taka twoja wola. Tylko mi już, przez litość, nie każ podziwiać twojej mądrości.

- Chcę pomówić szczerze i otwarcie o interesie doniosłego dla mnie znaczenia. Przed czterema laty przysłał mi tatko ratami dwieście rubli. W roku następnym dwieście rubli. Potem dwieście pięćdziesiąt rubli i zeszłego roku znowu dwieście. Razem osmset pięćdziesiąt. Pensja, jaką ojciec pobiera, wynosi trzysta rubli na rok. Skądże?...

- Synku kochany... nie chcej mnie aby rpić złodziejem. Jeżeli uważnie przejrzałeś rachunki, to musiałeś dostrzec, że nie przywłaszczyłem sobie ani kopiejki Bijakowskiego. Wszystko jest w wykazach. Że nie sprzedawałem potajemnie ani wapna, ani cegły, możesz także przekonać się z rachunków. Daję ci zresztą słowo honoru... nie mam na sumieniu ani jednej kopiejki Bij akowskiego! Tak mi Boże dopomóż!

- Tak, to zupełna prawda.

- Skoro występujesz w roli oskarżyciela, to powinieneś znać się trochę na interesach. Cały sekret polega na tym, że Bijakowski dał mi upoważnienie do pobierania, oryginalnej wprawdzie, tantiemy. Od sprzedaży nigdy mi jej przyznać nie chciał, a natarczywe moje żądania zbywał zawsze jedną śpiewką: „Produkuj pan taniej... a co na tym osiągniesz, to twoje”. Obiecał ludziom początkowo po trzydzieści kopiejek. Ja im dałem później po dwadzieścia, no i, rozumie się, przystali, bo nigdzie więcej nie zarobią, a tu mają zarobek pewny. Tym sposobem uzbierało się trochę grosza dla ciebie.

- Tak, to właśnie dostrzegłem w rachunkach...

- I to jest cały sekret, oskarżycielu! Złodziejem nie byłem i, da Bóg, nie będę!

- I ja nim być nie chcę, mój ojcie. Toteż osmset pięćdziesiąt rubli muszę zwrócić...

- Komu masz zwracać? Ja tych pieniędzy nie przyjmę... wiedz o tym... nie przyjmę. Nie mogłem ci dawać na utrzymanie i edukację więcej, Bóg widzi... ale co mogłem... Staralem się choć trochę wywiązać z powinności ojcowskiej.

- To nie ojciec dawał mi na edukację i nie ojcu mam zwrócić ten dług gorzki i straszny...

Dominik Cedzyna wysoko podniósł brwi i ze zdumieniem patrzył na syna.

- Ty chyba masz bzika, mój Piotrusiu. Cóż ty pleciesz? Doktor Piotr usiadł przy stoliku, przysunął arkusz czystego papieru i zaczął mówić powoli:

- Wartość każdego towaru po ukończeniu produkcji składa się z kapitału stałego (oznaczmy go literą c), z kapitału zmiennego, czyli płacy najemników (dajmy na to v), i z tak zwanej wartości dodatkowej, czyli zysku, co oznaczam literą p . Stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego, czyli zysku do płacy najemnika, $p: v$, pokazuje stopę wartości dodatkowej, czyli normę wyzysku. Obliczmy, proszę ojca, skrupulatnie przychód i rozchód...

Nad wieczorem dopiero skończył się zajadły spór między ojcem i synem. Obadwaj zamilkli pod wpływem tej zaciętości, co zdaje się zamykać serce tak szczelnie, jak się zamyka wieko trumny nad drogimi zwłokami.

Stary obojętnie i z pogardą patrzył na krzątanie się doktora Piotra dokoła walizki. Od czasu do czasu szyderczy uśmiech przemykał po jego wargach i oczy błyskały gniewem. Po długim milczeniu wyniośle i obojętnie rzekł:

- Czy tutaj nie mógłbyś stanowczo zarobić, aby uczynić zadość głupim sentymentom?

- Nie mógłbym, proszę ojca, tak prędko, jak tego pragnę. Tam mam miejsce i płacę stosunkowo niezłą.

- Można by i tu znaleźć posadę. Bijakowski...

- Ja nigdy i nic wspólnego mieć nie będę z panami Bijakowskimi. Nikt mię nigdy nie protegował, oprócz moich wiadomości i pracy.

- Pisałeś mi, że cię protegował jakiś profesor - rzekł stary oschle. - Jesteś w niezgodzie z samym sobą, znakomity filozofie.

- Nie. Profesor podał moje nazwisko, ponieważ stosownie do żądania miał wskazać czyjekolwiek nazwisko. Wskazał moje, bo uważał to za słuszne ze względu na moją porządną pracę i usposobienie do samodzielnych doświadczeń.

- Rzeczywiście, racja fizyka! Bijakowski również uważałby za słuszne ze względu... i tak dalej...

- Nikt dobrowolnie nie zaraża się parchami... Toteż i mnie dobrze, pókim czysty...

Stary roześmiał się. Znowu nastąpiło milczenie aż do chwili, kiedy młody człowiek zdjął palto z kołka i począł leniwie naciągać je na ramiona.

- Czyż ty naprawdę?... - zapytał pan Dominik. - Tak, ojcze.

- Oby cię Bóg nie skarał ciężko, moje dziecko!

- Pierwszą ratę mam nadzieję przysłać w maju. W tym notesie wyliczyłem należność każdego za cztery lata. Niechże ojciec raczy sumiennie...

- Precz, durniu! - krzyknął grubiańsko pan Dominik w przystępie wściekłego gniewu.

Ręce mu się trzęsły, w oczach migotał zły ogień.

Doktor Piotr, bład jak papier, zbliżył się do niego ze łzami w oczach i schylił mu się do nóg. Starzec odepchnął go, usunął się w kąt pokoju i odwrócił plecami: Słyszał, jak drzwi z cicha skrzypnęły i zawarły się za wychodzącym, słyszał suchy szczepek kłamki, ale nie odwrócił głowy. Zapadał powoli w stan gnuśnego spokoju, obojętności tak zupełnej, że graniczyła prawie z zadowoleniem.

- Dobrze, że powiedziałem „durniu”! - pomyślał - to mu pójdzie w pięty...

Po upływie kilkunastu minut wyrzwał przez okno. Na podwórzu nie było nikogo. Pod zachód słońca widać było przedmioty wyraźnie. Na każdej szybie rysowały się i rosły w oczach, idąc z dołu do góry, fantastyczne gałązki mrozu. Starzec przypatrywał im się z zajęciem i myślał o czymś dawnym, ogromnie dawnym. Doznawał przez chwilę uczuć małego chłopca, który w pięknym dworze siedzi obok matki, pięknej, dobrej, kochanej matki, i patrzy na gałązeczki przymrozka... Nudzi mu się, płakałby i kaprysił, gdyby nie to, że pelzające odnóżki, pręty i zębate liście tak go zaciekawiają, tak bawią...

Z zadumy obudził go dopiero daleki świst lokomotywy. Ten dźwięk sprawił mu taki ból jak uderzenie młotkiem w czaszkę. Wziął czapkę i wyszedł z pokoju.

Ku stacji kolejowej z wolna zbliżał się pociąg, kopiąc się i nurzając w zaspach, jakby je żelaznym kadłubem roztrzącał i przewiercał. Pan Dominik począł iść ku dworcowi wiel-

kimi krokami. Zmrok padał żywo i w miarę zwiększania się ciemności coraz wyraźniej błyskały latarnie na linii drogi żelaznej, niby duchy dobroczynne dające znać o wielkim niebezpieczeństwie. Gdy pan Cedzyna był na połowie drogi, ujrzał z daleka sylwetkę człowieka idącego od stacji. Odetchnął głęboko w nadziei, że doktor Piotr wraca. Wkrótce zrównał się z tym człowiekiem: był to strycharz z cegielni, młody i wesoły parobczak. - Ty, gdzieś chodził? - zapytał go rządcą ponuro. - Na stację.

- Po co?

- Zniosłem zawiniątko za młodym panem... - Za jakim młodym panem?

- Ady za panem Pietrem.

- Pojechał? - zapytał starzec obojętnie. - Pojechał, proszę łaski pana.

- Widziałeś?

- A no i nie widziałbym. Jeszczem mu toból zaniósł do maszyny. - Mówił co do ciebie?-

- E... mówić to ta nie mówił dużo. - Wracaj do domu!

Chłopak oddalił się szybko brzegiem drogi. Potem przeskoczył przez rów i poszedł ku górze na przełaj przez pole.

Pan Dominik patrzył za nim ciągle, wtedy nawet, kiedy tamten skrył się w ciężkim cieniu góry. Twarz starca stuliła się i zmaląła, nos się wygiął i wyciągnął ku brodzie, oczy nakryły dolnymi powiekami. Stał na miejscu i sięgał co chwila ręką, jakby z zamiarem przywołania strycharza. Następnie poszedł wolno, nie mając żadnego już zamiaru ani wiadomości o kierunku, w jakim postępuje. Schylał się ku ziemi i przy świetle ostatniego brzasku zorzy wieczornej rozpoznawał głębokie ślady stóp syna wyciśnięte w miękkim śniegu, które teraz mróz miłosierny utrwalał dla niego na tej okrutnej drodze. Nad każdym z tych śladów zatrzymywał się, macał go laską... Nad każdym z piersi jego wydierał się cichy, nieprzerwany jęk, podobny do żalnego skomlenia wiatru nad mogiłami cmentarza.

tekst na podstawie edycji Stefan Żeromski, Pisma zebrane. Pod red. Z. Golińskiego, t. 1
Opowiadania. Oprac. Z.J. Adamczyk, Warszawa 1981, s. 129-161

Silaczka

W nie najlepszym humorze powrócił do domu doktor Paweł Obarecki z winta, za pośrednictwem którego składał uroczyście życzenia księdzu płcbanowi wraz z aptekarzem, pocziarzem i sędzią w ciągu ośmnastu godzin z rządu. Powróciwszy, drzwi gabinetu zamknął tak szczelnie, aby się do niego nikt, nie wyłączając dwudziestoczteroletniej gospodyni, wdrzeć nie mógł - usiadł przy stoliku i wpatrywał się przede wszystkim z uporem w okno, bez żadnego zresztą wyraźnego powodu, następnie zaś zajął się bębnieniem palcami po stole. Czuł najwyraźniej, że opanowywać go zaczyna „metafizyka”.

Wiadomą jest rzeczą, że człowiek kultury, wyrzucony 'przez pęd odśrodkowy niedostatku z ogniska życia umysłowego do Klwowa, Kurozwek lub - jak doktor Obarecki - do Obrzydłówka, podlega z upływem czasu, wskutek dżdżów jesiennych, braku środków komunikacji i absolutnej niemożności mówienia w ciągu sezonów całych - stopniowemu przeistaczaniu się w twór mięsożerno-roślinożerny, wchłaniający nadmierną ilość butelek piwa i poddany atakom nudy, osłabiającej aż do takiego stanu, jaki graniczy z usposobieniem poprzedzającym wymioty. Zwyczajną nudę małomiasteczkową połyka się bezwiednie, jak bezwiednie zając połyka jajka tasiemca rozproszone na trawie przez psy. Od chwili zagnieżdżenia się w organizmie bąblowca: „najzupełniej mi jest wszystko jedno” - zaczyna się właściwie proces umiarnienia. Doktor Paweł, w epoce jego życia, o której mówię, zjedzony już był przez Obrzydłówek wraz z mózgiem, sercem i energią - zarówno potencjonalną, jak kinetyczną. Doświadczał nieprzewyciężonego wstrętu do czytania, pisania oraz rachowania, mógł całymi godzinami spacerować po gabinecie lub leżeć na szeszlunku choćby z nic zapalonym papierosem w zębach, w tęsknym, dokuczliwym i bolesnym niemal oczekiwaniu na coś, co się stać musi, na kogoś, kto musi nadejść, mówić cokolwiek, choćby kozły przewracać, w natężonym wsłuchiwaniu się w szmery i szelesty zwiastujące przerwanie ciszy, która dławi i przygniata niejako do ziemi. Szczególniej dokuczala mu zazwyczaj jesień. W ciszy jesiennego popołudnia, zalegającej Obrzydłówek od przedmieścia do przedmieścia, było coś bolesnego, coś, co poduszczało do wołania o pomoc. Mózg, opleciony niby miękkim przedziwem pajęczyny, wypracowywał myśli czasami niesłychanie pospolite, a niejednokrotnie - stanowczo do niczego niepodobne. Gwizdanie i dysertacje z gospodynią, raz przyzwoitsze (o niesłychanej na przykład wyższości pieczonego prosięcia nadzianego kaszą tatarską, rozumie się, bez majeranku, nad takimże prosięciem nadzianym innymi substancjami), kiedy indziej zaś ohydnie nieprzystojne - stanowiły jedyną rozrywkę. Wytoczy się, bywało, na połowę niebios chmura z potwornymi odnogami w kształcie łap tytanicznych i bury jej kłęb zawisnie bezwładnie, nie mogąc rozwiązać się w przestwór i grożąc zawaleniem się na Obrzydłówek i dalekie, puste pola. Od chmury tej leci niesiona przez wiatr ukośnie mgła kropelek, które osiadają na szybach w postaci kryształków, sprawiając w szumie wiatru szelest odrębny a przejmujący, jakby obok, gdzieś za węglem domu lkało dziecko dobywające resztki jęku. Daleko na miedzach stoją pozbawione liści samotne gruszki polne, miotają się ich gałęzie, deszcz je siecze... Myśl zbierała z tego krajobrazu smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego i mglisto, niejasno, bezwied-

nie wyczuwaną trwogę. Ten właśnie nastrój kataralno-melancholijny stał się nastrojem dominującym i rozciągał się na sezony letnie i wiosenne. Zagnieździł się w duszy doktora smutek zjadliwy a nie mający żadnej podstawy. Za nim nadciągnęło lenistwo nieopisane, lenistwo zabójcze, wytrącające z rąk ofiary nawet nowele Alexisa.

„Metafizyka”, jakiej doktor Paweł doświadczał ostatnimi czasy raz, czasami dwa razy do roku - to kilka godzin świadomego samobadania bystro, z szaloną gwałtownością napływających wspomnień, niecierpliwego zbierania strzępów wiedzy, szamotania się graniczącego z wściekłością, szlachetnych porywów przywalonych gliną beczynności, rozmyślań, wybuchów goryczy, postanowień niezłomnych, ślubów, zamiarów... Wszystko to, rozumie się, nie prowadziło do żadnej zmiany na lepsze i przemijało, jako pewna miara czasu mniej lub więcej dotkliwego cierpienia. Z „metafizyki” można się było wyspać jak z bólu głowy, by wstać na jutro z umysłem odświeżonym, energiczniejszym i uzdolnionym lepiej do podjęcia zwykłego jarzma nudów oraz zużywania wszystkiej energii mózgu na wymyślanie najsmaczniejszego jadła. Endemia „metafizyki” wskazywała jednak naszemu doktorowi, że w jego egzystencji roślinnej, najedzonej, niejako nasyconej filozofią mocnego, zdrowego rozsądku, kryje się jakaś rana nieuleczalna, niewidoczna, a dolegająca nad wyraz, niby ranka nad próchniejącą kością.

Doktor Obarecki przybył do Obrzydłówka przed sześcioma laty, zaraz po ukończeniu studiów, z umysłem rozwidnionym zorzą niewielu wprawdzie, ale nadzwyczajnie pożytecznych myśli, tudzież z kilkoma rublami w kieszeni. Mówiono podówczas bez przerwy o konieczności osiedlania się w lasach i Obrzydłówkach. Posłuchał apostołów. Był śmiały, młody, szlachetny i energiczny. W pierwszym zaraz po osiedleniu się miesiącu wydał niebacznie wojnę aptekarzowi i felczerom miejscowym, uzdrawiającym za pomocą środków wkraczających w dziedzinę misterii. Aptekarz obrzydłowski, „eksploatując sytuację” (do najbliższej apteki przez cywilizację obdarzonej miejscowości było mil pięć) - nakładał haracz na jednostki pragnące powrócić do zdrowia dzięki jego olejom, balwierze zaś wybudowali, trzymając się z farmaceutą za ręce, wspaniałe domostwa; w „kacabajach” niedźwiadkami podbitych chadzali, zachowując na obliczach wyraz takiej powagi, jak gdyby w każdej chwili żywota prowadzili księdza plebana na procesji Bożego Ciała.

Gdy delikatne i oględne perswazje, skierowane do farmaceuty a wypowiedane patetycznie z rozmaitych „punktów widzenia”, traktowane były jako idylle młodzieńcze i skutku żadnego nie odniosły - doktor Obarecki uzbierawszy nieco grosza kupił apteczkę podręczną i zabierał ją ze sobą jadąc do chorych na wieś. Sam przygotowywał na miejscu lekarstwa, udzielał ich za bezcen, jeżeli nie za darmo, uczył higieny, badał, pracował z fanatyzmem, z uporem, bez snu i odpoczynku. Rzecz prosta, że natychmiast po rozejściu się wieści o apteczkach przenośnych, udzielaniu pomocy za darmo i tym podobnych punktach widzenia - wybito mu wszystkie szyby, jakie istniały w ubogim mieszkaniu. Ponieważ zaś Borach Pokoik, jedyny szklarz w Obrzydłóoku, odprawiał w owym czasie święto Kuczek - trzeba było okna wykleić bibułą i czuwać nocą z rewolwerem w prawicy. Wprawione wreszcie szyby wybito powtórnie i wybijano je odtąd periodycznie aż do chwili sprawienia dębowych okiennic. Rozpuszczono między ludnością miasteczka wieść, jakoby młody doktor obcował z duchami ciemności, oczerniono go w opinii inteligencji okolicznej jako niesłychanego nieuka, odciągano przemocą chorych zmierzających do jego mieszkania, wyprawiano w majowe wieczory kocie muzyki itp. Młody doktor nie zwracał na to wszystko uwagi, ufając w zwycięstwo prawdy. Zwycięstwo prawdy nie nastąpiło. Nie wiadomo dlaczego... Już po upływie roku doktor poczuł, że jego energia staje się z wolna „dziedzictwem robaków”. Zetknięcie bliskie z ciemną masą ludu rozczarowało go nad wyraz: jego prośby, namowy, istne prelekcje z zakresu higieny upadały jak ziarna na opokę. Robił, co tylko mógł - na próżno! Szczerze mówiąc - trudno nawet wymagać, aby człowiek nie mający butów na zimę, wygrzebujący w marcu z cudzych pól zgniłe, zeszłoroczne kartofle w celu czynienia sobie z nich podpłomyków, mielący na

przednówka korę olszową na mąkę, aby tej domieszać do zbyt szczupłej miary mąki żytniej, gotujący kaszę z niedojrzałego ziarna, nabranego o świcie „sposobem kradzionym” - mógł zreformować w sensie dodatnim zaniedbane zdrowie swoje pod wpływem choćby najzrozumialej wyłożonych praw zdrowotności. Nieznacznie doktorowi zaczęło być „wszystko jedno”... Jedzą zgniłe kartofle - cóż począć - niechaj jedzą, jeżeli im smakują. Mogą nawet jadać surowe - to trudno...

Ludność żydowska miasteczka leczyła się u marzyciela, ponieważ nie odstraszały jej duchy ciemności, a zachęcała nadzwyczajna taniość „medycyny”.

Pewnego pięknego poranku doktor skonstatował, że ów płomyczek nad jego głową, z którym tu przyszedł i którym chciał rozwidnić drożynę swoją - zgasł. Zgasł sam przez się - wypalił się. Wówczas apteczka podręczna została na klucz do szafy zamknięta i doktor sam jedynie z niej korzystał.

Co za męczarnia jednak dać się pokonać farmaceucie i balwierzom, ustać, zakończyć wojny obrzydłowskie zamknięciem apteczki do szafy!

Zwycięzcami mają prawo się okrzyknąć i zbierać łupy, lecz nie oni go pokonali: sam się pokonał. Zadusił proste i wysokie myśli i uczynki może dlatego, że się w jadło zbyt wdać zaczął - dość, że zadusił. Coś tam jeszcze robił, leczyl myśląc -me miał już jednak nikt z całej jego ówczesnej „działalności” za pół papierosa pożytku.

W okolicznych siedzibach pańskich przemieszkiwali dziwnym zbiegiem okoliczności sami troglodyci „z dziada pradziada”, którzy doktorów w ogóle traktowali w sposób cokolwiek niewspółczesny. Jednemu z nich złożył doktor Paweł wizytę, co było pomysłem chybionym, ponieważ troglodyta przyjął go u siebie w gabinecie, siedział podczas wizyty w kamizelce i jadł spokojnie szynkę krajając ją scyzorykiem. Doktor poczuł w sobie napływ ducha demokracji, powiedział półhrabi coś cierpkiego i nie składał więcej wizyt w okolicy.

Pozostał tedy do wymiany myśli ksiądz proboszcz i sędzia. Obcować jednak zbyt często z plebanem - markotnie jest nieco; sędzia zaś był człowiekiem mówiącym rzeczy, których zupełnie nie można było pojąć - pozostała tedy właściwie samotność. Aby uniknąć złych następstw absolutnego przebywania z samym sobą, usiłował zbliżyć się do przyrody, odzyskać spokój, harmonię wewnętrzną. ducha, poczucie siły i odwagi, wynalazłszy te żelazne ogniwa, jakie człowieka zespalają z przyrodą. Żadnych jednak ogniw żelaznych nie odnalazł, pomimo że błąkał się po polach, docierał nawet do poręb w lesie i zagrzązł pewnego razu w bagnie na pastwisku.

Płaski krajobraz otaczało zewsząd sinawe pasmo lasu. Bliżej, na wydmuchach szarego piasku, rosły samotne chojaki, a naokół ciągnęły się nie wiedzieć do kogo należące zagony. Pastwiska porosłe „kozicą” i żółtawymi trawami, umierającymi przedwcześnie, jakby do rozwoju gałęzek zieleni w ich pędach zabrakło światła - stanowiły jedyne upiększenie Obrzydłówka. Zdawało się, że słońce oświetla to pustkowie po to jedynie, aby okazać jego bezpłodność, nagość i posepność...

Brzegiem drogi, okrytej brudnym piaskiem, porytej wybojami i wygradzonej ruinami płotu, włókl się codziennie biedny doktor z parasolem... Droga ta nie prowadziła, zdawało się, do żadnych osad ludzkich, rozszczepiała się bowiem wśród pastwiska na kilkanaście ścieżek i ginęła między kretowiskami. Zjawiała się znowu dopiero na szczycie wydmy piaszczystej w postaci dwu trójkątnych wyżłobień w piasku i szła w las karłowatych sosenek.

Jakaś niecierpliwa złość ogarniała doktora, gdy patrzył na ten krajobraz, i pożerała mu spokój nieokreślona obawa...

Lata upływały. Zarządzono z inicjatywy księdza plebana zgodę między aptekarzem a doktorem, gdy skonstatowano dodatnie zjawisko „ochłonięcia” tego ostatniego. Antagoniści zaczęli odtąd wspólnie „orać” w wincie, choć doktor z obrzydzeniem zawsze patrzył na farmaceutę. Stopniowo i obrzydzenie nieco się zmniejszyło. Zaczął chodzić z wizytą do aptekarza i emablować jego żonę. Pewnego razu przeraził się nawet wynikiem analizy własnego serca, która

okazała, że zdolnym jest do platonicznego rozmiłowania się w pani aptekarzowej, damie tępej umysłowo jak siekiera do rąbania cukru, gotowej dać się ukrzyżować za przekonanie, zupełnie nawet bezzasadne, że jest wiotką, powabną i niebezpieczną, i opowiadającej z przedziwnym zapałem, a bez przerwy, o grzechach głównych swojej pokojówki. Słuchał doktor Paweł całymi godzinami wymowy pani Anieli, zachowując na obliczu uśmiech mdło uprzejmy, taki właśnie uśmiech, jaki oglądać można na ustach młodzieńca emablującego grono pięknych dam, w chwili gdy mu najstraszliwiej dokucza ból zębów.

Do czynów bohaterskich w zakresie demokratyzacji w Obrzydłówku pojęć, choćby w imię znośniejszego przepędzania czasu, nie był już zdolnym. Za żadną cenę nie byłby składał wizyt rzeźnikom, jak to zamierzał swojego czasu; jeżeli mógł rozmawiać, to jedynie z ludźmi będącymi w jakiej takiej kulturze.

Wówczas to nie tylko już energia ulegała zniszczeniu - znikło i poszanowanie dla wszelkiej myśli szerszej. Z wielkich widnokręgów, ledwie dających się zmierzyć rozmarzonymi oczyma, został widnokrąg tak dalece mały, że można go było zakreślić końcem modnego kamaszka. Na rozbrzmiewające po artykułach szukanie „prawdy jasnego promienia i nowych, nie odkrytych dróg” zapatrywał się w początkach umierania z goryczą, żalem, zawiścią, następnie - z ostrożnością człowieka mającego pewien zasób doświadczenia, później z niedowierzaniem, wkrótce potem z półuśmiechem, potem ze zdecydowanym lekceważeniem, a koniec końców nie zapatrywał się wcale, ponieważ było mu najzupełniej wszystko jedno. Leczył według wskazówek rutyny, praktykę jaką taką wyrobić sobie zdołał, przywykł jakoś do Obrzydłówka, do samotności, do nudy nawet, do prosiąt pieczonych, i nie kwapił się bynajmniej do ogniska życia umysłowego.

Zasadą, do której, niby do wspólnego mianownika, sprowadzały się czyny i myśli doktora Obareckiego, stała się ta: - dawajcie pieniądze i wynoście się...

A jednak w chwili, gdy siedział po powrocie z imienin księdza proboszcza, zajęty bębnieniem palcami po stole, „metafizyka” opanowywała go z dawną siłą. Już podczas jakiejś szesnastej godziny wintowej doktor czuł się niedobrze. Wywołał to aptekarz znowu, który zaczął ni z tego, ni z owego studiować Historię powszechną Cezara Cantu (w przekładzie Leona Rogalskiego) i wyrobiwszy w sobie bardzo radykalny pogląd na działalność Aleksandra VI, w bezwyznaniowość jakoby popadł.

Doktor Obarecki wiedział aż nadto dobrze, dlaczego farmaceuta dysputami destrukcyjnymi rozbiewa księdza proboszcza; przeczuwał, że są to preludia do zbliżenia się, zaprzyjaźnienia na mocy jedności poglądów... Przeczuwał, że odwiedzi go kiedykolwiek, będzie, z daleka zachodząc, wskazywał umiejętnie na brak kapitału, źródło „stagnacji”, a znizywszy loty do spraw obrzydłowskich wykaże, ile by oni dwaj, trzymając się za ręce, korzyści społeczeństwu przynieśli: jeden pisaniem recept na łokcie, drugi eksploatowaniem sytuacji... Kto wie - może zaproponuje szczerze i otwarcie, „nóżki kładąc na stół”, założenie czysto wekslowej spółki, której celem będzie wspólne maszerowanie w tonie gnojówki. Przeczuwał także doktor, że nie będzie miał siły do zakończenia propozycji aptekarskich nakręcaniem mu z lekka kości policzkowej, ponieważ nie wiezieć w imię czego kość tę nakręcać... Przypuszczał nawet, że spółka ta stanie - któż wie... Gorycz załała mu serce. Co się stało, jakim sposobem aż dotąd zaszedł, dlaczego nie wyrwa się z tego błota, czemu jest leniuchem, marzycielem, refleksjonistą, psowaczem własnych myśli, karykaturą wstrętną samego siebie?...

I zaczęło się, podczas wpatrywania się w okno, nadzwyczajnie szczegółowe, pilne, badawcze, bezlitosne i subtelne oglądanie własnej bezsilności. Śnieg padał wielkimi płatkami, przesłaniając smutny krajobraz zimową mgłą i zmrokiem.

* * *

Chimeryczną a bezpłodną gonitwę myśli przerwały nagle wykrzykniki gospodyni, usiłującej przekonać kogoś, że doktora w domu nie ma. Doktor jednak wyszedł do kuchni, aby rozerwać pasmo męczących go myśli.

Ogromny chłop w żółtym kozuchu zmiótł „wściekłą czapą” pył spod jego nóg w głębokim pokłonie, odgarnął pięścią włosy z czoła. wyprostował się i zamierzał rozpocząć orację.

- Czego? - zapytał doktor.

- A to, wielmożny doktorze, sołtys mię tu przysłał... - Po co?

- A po wielmożnego doktora. - Kto chory?

- Nauczycielka ta u nas we wsi zachorowała. sparło ją coś. Prcyszedł sołtys... jedźcie, pada, Ignacy, do Obrzydłówka po wielmożnego doktora, może, pada...

- Pojadę. Konie dobre?

- A konie ta, jak konie: śwarne gady.

Podobała się doktorowi myśl jazdy, zmęczenia się, choćby nawet niebezpieczeństwa. Wdział z nagłym ożywieniem grube buty, kozuszek, futro, którym można by było otulić wiatrak, pasem się opasał i wyszedł przed dom. „Gady” chłopskie niewielkie były, ale okragłe, wypasione - wasąg olbrzymi na saniach, słomą wyładowany i okryty kilimkiem. Zanurzył się w słomę, otulił, chłop przysiadł bokiem na przednim siedzeniu, odmotał parciane lejce z kłonicy, konie zaciął. Pomknęli.

- Daleko to? - zagadnął doktor.

- Będzie ta może z trzy mile, może nie ma... - Nie zbłądzisz?

Chłop obejrzał się z uśmiechem ironicznym. - Któż... j a?

Wiatr dał w polu przejmujący. Niekute, ukośne, ledwo ociosane siekierą sanice wrzynały się w głęboki, świeżo spadły śnieg, odwracając na bok białe jego skiby. Drogę zaniósł.

Chłop „wściekłą czapę” na bok przechylił i zaciął konie. Doktor czuł się dobrze. Minąwszy lasek, który zdawał się tonąć w śniegu, wyjechali na pusty, bezludny przestwór, oprawny w ramy lasu, ledwie widzianego na krańcu widnokregu. Zmrok zapadał, powlekając ten nagi i surowy obraz pustkowiecia niebieskawym kolorytem, który ciemniał nad lasem. Grudki zbitego śniegu wyrzucane kopytami koni przelatowały koło uszu doktora. Nie wiedzieć czemu chciało mu się stanąć na saniach i wołać po chłopsku, z całych sił w ten głuchy, niemy, nieskończony przestwór, urzekający ogromem jak przepaść. Nachylała się szybko noc dzika i ponura, noc pół nie zamieszkanach.

Wiatr się wzmógł, dał jednostajnie, z hukiem przechodzącym od czasu do czasu w głuche largo; śnieg zaciął z boku.

- Strzeżcie drogi, gospodarzu, bo może być źle - zauważył doktor kryjąc nos w futro.

- A no, maluśkie! - wrzasnął chłop na konie zamiast odpowiedzi.

Głos ten ledwo już można było dosłyszeć w wichrze. Konie biegły w cwał.

Zamieć rozszałała się nagle. Bałwanami miotać się począł wicher, uderzał w sanie, skowyczał między sanicami, tłumił oddech. Słysząc było parskanie koni, lecz ani ich, ani furmana doktor nie mógł dostrzec. Kłęby śniegu, zdzierane z ziemi przez wiatr, leciały jak stado koni i słysząc było niby tętent ich tytanicznych skoków; chwilami wywierało się z ziemi piekło huku i szła ta melodia uderzać wszystką potęgą tonów w chmury, łamać je i upadać nagle z łoskotem. Wtedy rozpryskało się w puch posłanie śniegowe i otaczało podróżnych naszych wirującymi słupami. Wydawało się, że jakieś potwory zataczają w szalonym tańcu olbrzymie koła, że doganiają z tyłu, zabiegają z przodu, z boku i sypią po szczypcie śniegu na sanie. Gdzieś najwyżej, w zenicie, uderzał niby wielki, rozkołysany dzwon przeciągle, głucho, jednostajnie. Doktor poczuł, że nie jadą już po drodze; sanie posuwały się z wolna, uderzając końcami sanic o grzbiety zagonów.

- Gospodarzu! - zawołał z trwogą - a gdzie my jesteśmy? - Jadę polem do lasu - odpowiedział chłop - w lesie ciszej będzie... pod samą wieś lasem zajedziemy...

Rzeczywiście wiatr wkrótce ucichł i dawał się słyszeć tylko huk podniebny i trzask łamiących się gałęzi. Na czarnym tle nocy majaczyły osypane śniegiem drzewa. Prędzej jechać nie można było, drożyna bowiem leśna, zawalona zaspami, przeciskała się wśród pniaków i gałęzi. Nareszcie po upływie jakiejś godziny, podczas której doktor szczerze namartwił się i naobawiał, dały się słyszeć powtarzające się głuche odgłosy: - psy szczekały.

- Nasza wieś, wielmożny panie...

Zamigotały światelka w oddali, podobne do chwiejących się w różne strony punkcików, dym zapachniał.

- Nuże, małe! - zawołał wesoło na konie woźnica, rozgrzewając się za pomocą objiania boków pięściami.

Za chwilę mijali pędem szereg chat, do strzech zasypanych śniegiem. Na tle szyb zamarzniętych okien, od których padały na drogę kręgi światła, rysowały się cienie głów.

- Wieczerzę ludzie jedzą... - bez żadnej potrzeby zauważył chłop, przypominając doktorowi czas „wieczerzy”, której spożywać dnia tego nie miał nadziei.

Zatrzymały się konie przed jakimś domostwem; chłop wprowadził doktora Pawła do sieni i znikł. Namacawszy klamkę doktor wszedł do małej, nędznej izby, oświetlonej kagankiem naftowym.

Zgrzybiała i zgarbiona jak rączka parasola kobiecina zerwała się, ujrzawszy go, z łóżka, poprawiła chustkę na głowie i jęła mrugać powiekami, a wytrzeszczać czerwone oczy ze złej tajonym przerażeniem.

- Gdzie chora? - spytał. - Samowar macie?

Stara w przerażeniu swym do słowa przyjść nie mogła. - Samowar macie, herbaty możecie mi zrobić?

- Jest ten ta samowar... jeno cukru... - Masz tobie! Cukru nie ma?

- A nie ma... chybaby Walkowa mieli, bo to panienka... - Gdzież ta wasza panienka?

- A dy w stancyi nieboga leży. - Dawno chora?

- Pokłada się to ta już ze dwie niedziele, a teraz ani ręką, ani nogą. Ścisnęło i pokój.

Uchyliła drzwi do izby sąsiedniej.

- Zaraz! ogrzać się muszę - zawołał gniewnie doktor zdejmując futro.

Ogrzać się w tej norze nie było trudno: z pieca rozchodziło się takie gorąco, że doktor co prędzej wsunął się do pokoju „panienki”. Małą tę i nadzwyczajnie ubogą izdebkę oświetlała lampa przyćmiona, stojąca na stole obok wezglowia chorej. Rysów twarzy nauczycielki nie można było rozeznaczyć, gdyż padał na nie cień jakiejś dużej księgi. Doktor zbliżył się ostrożnie, lampę rozświetlił, usunął książkę i przyglądać się zaczął pacjentce. Była to młoda dziewczyna, pogrążona we śnie gorączkowym. Szkarłatem powleczone była jej twarz, szyja, ręce - na tle tym znać było jakąś wysypkę. Jasnopopielate, niezmiernie bujne włosy leżały poplątanymi pasmami na poduszce, wiły się na twarzy. Ręce bezwiednie i niecierpliwie szarpały koldrę.

Doktor Paweł pochylił się aż do samej twarzy chorej i zaczął nagle mówić głosem, który przecinało i dusiło przerażenie:

- Panno Stanisławo, panno Stanisławo, panno Stanisławo... Chora leniwie i z wysiłkiem dźwignęła powieki, lecz zamknęła je natychmiast. Przeciągała się, przesuwała głowę od jednego końca poduszki do drugiego i jakoś cicho, boleśnie, głucho jęczała. Co chwila otwierała usta, z wysiłkiem, jak karp, połykając powietrze.

Doktor powiódł oczami po nagich, wapnem wybielonych ścianach izby, dostrzegł okno źle opatrzone, przemokłe i zeschnięte trzewiki chorej - stosy książek leżące wszędzie: na ziemi, na stoliku, na szafce...

- Ach, ty szalona, ty głupia! - szeptał załamując ręce. Gorączkowo, z trwogą i żalem zaczął ją badać, mierzył drżącymi rękami temperaturę.

- Tyfus... - wyszeptał blednąc.

Z wściekłością ścisnął sobie gardło, w którym dławili go, niby zwitki pakuł, łyzy niezdolne wypłynąć. Widział, że nic jej nie pomoże, nic nie może pomóc - roześmiał się nagle, wspomniawszy, że po taką chininę lub antypirynę trzeba posyłać do Obrzydłówka... trzy mile. Panna Stanisława otwierała od czasu do czasu oczy szklane, bezmyślne, podobne do zastygłego pod powiekami płynu, i patrzyła nic nie widząc przez długie, koliste rzęsy. Wołał na nią najczulszymi nazwami, unosił jej głowę słabo trzymający się na szyi - na darmo.

Usiadł bezwładnie na stolku i wpatrywał się w płomień lampy. Oto nieszczęście jak wróg śmiertelny zadało mu ślepy cios i wlecze teraz bezsilnego do jakiejś mrocznej pieczary, do jakiejś szczeliny bez dna...

- Co począć? - szeptał drżąc.

Przez szpary okna wdzierał się chłód burzy zimowej i przechodził przez izbę jak widmo złowieszcze. Zdawało się doktorowi, że go ktoś dotyka, że prócz niego i chorej jest w izbie ktoś trzeci...

Wyszedł do kuchenki i zakrzyknął na służącą, aby mu wołała natychmiast sołtysa.

Stara wdziała co tchu olbrzymie buty, okryła głowę „zapaską” i zabawnie podskakując znikła.

Wkrótce potem zjawił się sołtys.

- Słuchajcie, nie znajdziecie mi człowieka, który by pojechał do Obrzydłówka?

- Teraz, panie doktorze, nie pojedzie... zawieja. Na śmierć pojedzie... Psa ciężko wygnać.

- Ja zapłacę, wynagrodzę.

- Nie wiem ja... przepytam się.

Wyszedł. Doktor Paweł ścisnął skronie, które zdawał się rozsądzać napływ krwi. Przysiadł na skrzynce i o czymś dawnym, dalekim myślał.

Dały się wkrótce słyszeć kroki: sołtys prowadził parobczaka w kożuszynie przedartej, nie dosięgającej mu do kolan, w zgrzebnych spodniach, kiepskich butach i czerwonym szaliku - Ten? - zapytał doktor.

- Powiada, że pojedzie... śmiałek. Ja konia mogę dać, ale gdzie to w taki czas...

- Słuchaj, jeśli wrócisz za sześć godzin, dostaniesz ode mnie dwadzieścia pięć, trzydzieści rubli, dostaniesz... co chcesz... słyszysz?

Chłopaczyna popatrzył na doktora - miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Utarł nos palcami, bokiem się odwrócił i czekał. Doktor powrócił do stolika nauczycielki i zaczął pisać. Ręce mu się trzęsły i skakały co chwila do skroni. Kombinował, pisał, przekreślał, darł papier. Wystosował list do aptekarza, prosząc, aby natychmiast wysłać konie do miasta powiatowego po tamtejszego lekarza, prosił o wysłanie mu chininy; nachylał się nad chorą, badał ją jeszcze. Wyszedł wreszcie do kuchni i wręczył list chłopakowi.

- Mój bracie - mówił jakimś nieswoim, dziwnym głosem, kładąc ręce na ramionach wyrostka i wstrząsając nim - co koń skoczy, co tchu... Słyszysz, mój bracie!...

Chłopiec skłonił mu się do nóg i wyszedł z sołtysem.

- Ta nauczycielka dawno tu u was we wsi siedzi?... -zagadnął doktor Paweł babinę, przytuloną do komina.

- Trzy zimy!... jakoś bodaj.

- Trzy zimy. Nikt tu z nią nie mieszkał?

- A któż ta miał... ja jeno. Przygarnęło mię chudziątko... służby, powiada, już nie znajdziecie, babko, a u mnie ta roboty niewiele... aby ta, aby... Teraz masz: com sobie obiecywała, że mi trumnę sprawi, to ja... módl się za nami grzesznymi...

Zacząła niespodziewanie szeptać modlitwę, odcinając wyraz od wyrazu i poruszając wargami jak wielbłąd. Głowa jej się trzęsła, zmarszczkami wlewały się łzy do ust bezzębnych.

- Dobra była...

„Babka” zaczęła chlipać śmiesznie i machać rękami, jakby pragnęła doktora od siebie odegnąć. Wszedł do pokoju i zaczął na palcach chodzić po swojemu, dokoła... chodził, chodził...

Zatrzymywał się od czasu do czasu przy łóżku i z gniewem, od którego białły mu wargi i wyszczerzyły się zęby, mówił do chorej:

- Niemądra byłaś! Tak żyć nie tylko nie można, ale i nie warto. Z życia nie zrobisz jakiegoś jednego spełnienia obowiązku: zjedzą cię idioci, odprowadzą na powrozie do stada, a jeśli się im oprzesz w imię swych głupich złudzeń, to cię śmierć zabije najpierwszą, boś za piękna, zbyt ukochana...

Jak płomień suche drewno, obejmowało go dawne, przeżyte, zapomniane uczucie; zjawiało się... porywające jak niegdyś i zabójczo słodkie. Wmawiał w siebie, że nigdy o niej nie zapomni, że do tej chwili ją uwielbiał i pamiętał... Przypatrywał się tej twarzy znajomej z jakąś nienasyconą ciekawością i cichy, przesywający ból wjadał mu się w serce. Trzy lata tu mieszkała obok niego - dowiaduje się o tym, gdy mu umiera...

Wszystko, co go spotykało tego dnia, wydawało mu się jako dalszy ciąg udręczeń przymusowo-borsuczego istnienia. Jednocześnie rozchyłał się jakiś tajemniczy horyzont, jakiś ocean ginący we mgłach. Po nerwach jego, aż do najdalszych ich gałązeczek, ściekały zimne dreszcze. Miotał się jak śliz na błotnistym dnie strumienia wychowany, gdy go zanurzyć w wodzie morskiej...

Toteż całym wysiłkiem rozpaczliwej niecierpliwości uchwycił się wspomnień, uciekł w nie przed nieznośną rzeczywistością, zatonął jak w obłoku mgły czerwcowego przedświt.

Za jaką bądź cenę pragnął być choćby przez chwilę sam, aby myśleć, myśleć...

Z pokoju nauczycielki wszedł przez małe drzwiczki do dużej izby, zastawionej ławkami i stolikami. Tam usiadł w ciemności i niby skupiając ducha, niby obmyślając środki ratunku, zaczął wspominać. Oto, co sobie przypomniał:

* * *

Jest ubogim studentem czwartego kursu. Idzie w poranek zimowy do szpitala, tak misternie stawiając nogi, by nie wszyscy przynajmniej widzieli, i dziury w podszwach tekturą umiejętnie są pozatykane. Paltocik ma ciasny jak kaftan wariata, wytarty tak dalece, że Żyd letnią porą ośmiu zań złotych dać nie chciał. Bieda nastraja go pesymistycznie, wtrąca w jakiś stan ciągłego smutku, który jest czymś nieskończenie większym niż nuda przykra, lecz daleko mniejszym niż cierpienie. Można się z tego obudzić natychmiast: dość jest wypić kilka szklanek herbaty, zjeść befszytk - lecz herbaty nie pił i obiadu prawdopodobnie jeść nie będzie. Biegnie niemal po brunatnym błocie z ulicy Długiej, aby o trzy kwadransy na dziewiątą wchodzić w bramę Ogrodu Saskiego. Tam spotka panienkę, przejdzie obok niej, przyjrzy się ciężkiemu, długiemu, jasnopopielatemu jej warkoczowi... Ona nie podniesie oczu, zmarszczy brwi, podobne do prostych a wąskich skrzydełek jakiegoś ptaka.

Spotykał ją wówczas w tym samym miejscu codziennie. Szła szybko na Krakowskie Przedmieście, wsiadała do tramwaju i jechała na Pragę. Nie miała więcej nad siedmnaście lat, a wyglądała jak stare pannisko, w baszłyku zarzuconym niedbale na futrzaną czapkę, w kaloszach za dużych trochę na jej małe nogi, w niezgrabnej i niemodnej salopce. Niosła zawsze pod pachą jakieś kajety, arkusze zapisane, książki, mapy. Raz jeden, czując się w posiadaniu kilku dziesiątek przeznaczonych na obiad, postanowił zbadać, dokąd ona jeździ. Puścił się tedy w pogoń, wsiadł do tego samego, dziesięciogroszowego przedziału, lecz zaraz po zajęciu miejsca stracił całą odwagę. Nieznajoma zmierzyła go wzrokiem tak okropnej pogardy, że niezwłocznie wyskoczył z tramwaju, tracąc tym sposobem wazkę rosółu i nic nie wskórawszy.

Nie czuł jednak do niej żalu - tym wyżej, dalej się wzniosła. Myślał o niej pomimo woli, bezwiednie, bez przerwy. W ciągu całych godzin usiłował przypomnieć sobie, uprzytomnić jej włosy, oczy, usta w kolorze torebek owocu dzikiej róży -i wysilał pamięć nadaremnie.

Zaledwie mu znikła z oczu, znikaly z pamieci jej rysy -zostawalo natomiast natretne widmo, podobne do bialego obloku o niejasnych rysach, ktore szlo przed nim gdzieś gora. Oblok ten gonily jego mysli z teskna i pokorna bojaznia, z odrobina nieuchwytnego zalu, ze smutkiem i nieodegnana sympatia. Szedl co rano, aby zywa dziewczynke ze swym widmem porownywac. I wydawala mu sie ta zywa piekniejsza, napawaly go jakimis strachem jej kryczne i mądre oczy...

Podowczas jeden z jego kolegow, tak zwany „Ruch w przestrzeni”, wielki „spolecznik”, zczynajacy wiecznie pisac wstepne artykuly, ktorych dokończyc nie pozwalal mu brak potrzebnych po temu ksiazek, nagle i niespodziewanie „wzial” i ozenil sie z uboga jak mysz kościelna emancypantka.

Zona wniosla „Ruchowi” w posagu stary dywan, dwa rondelki, gipsowy posag Mickiewicza i kilkanaście nagród gimnazjalnych. Młodzi małzonkowie zamieszkali na czwartym pietrze i zaczęli zaraz po ślubie głodem przymierać. Udzielali oboje korepetycji z takim zapalem, że rozbiegłszy się rano spotykali się dopiero wieczorem. Dom ich jednak stal się punktem, do ktorego zmierzal wieczorem kazdy „spolecznik” w zabloconych sandalach, aby się wysiedziec na fotelu, napalic cudzych papierosow, nagadać do ochrypnięcia i wydać ostatnie kilka groszy na skladkę, za ktora uprzejma gospodyni kupowala bulki i serdelki, ukladala artystycznie na talerzyku i czestowala gościnnie. Można się tam bylo zawsze z kimś spotkac, zaznajomic z nie znanymi do owej pory wielkimi ludźmi, z kolezankami gospodyni, a niejednokrotnie można bylo nawet pozyczyć czterdzieści groszy.

Jakże pobladl Obarecki z radości, gdy wchodząc pewnego wieczora do tak zwanego salonu ujrzał ukochana swoja panienke w gronie kolezank! Rozmawial z nią i aż do nieprzyzwoitości trafil przytomność... Wracając tego wieczora do domu pragnal być sam - nie marzyć ani myslec, tylko być z nią cala dusza, wszystkim ja miec w oczach, w uszach miec dźwięk jej głosu, tak myslec jak ona, zamknac powieki i niechaj ida pod nimi te obrazy, ktore wydzieraja się z serca. Pamietal jej octy przedziwne, posepne a miłosierne, łagodne i tajemniczo mysłace, w ktorych przeražala jakaś głebina. Doznawal uczucia radości i spokoju, jakby po skwarnej i dręczonej podróży doszedl do czystego stoku, ukrytego w cieniu sosen na wyżynie górskiej.

Otaczano ja szacunkiem, przywiazrywano szczegolna wage do jej slow. „Ruch”, przedstawiając Obareckiego nieznanomej, wydeklamowal powaznie:

- Obarecki, refleksjonista, marzyciel, wielki leniuch, zreszta przyszla slawa; panna Stanisława Bozowska, nasza „darwinistka”...

„Wielki leniuch” dowiedzial się o „darwinistce” niewiele: ukończyła gimnazjum, dawala lekcje, miala zamiar jechac do Zurychu czy Paryza na medycyne, nie miala grosza przy duszy...

Spotykali się odtąd w „salonie” czesto. Panna Stanisława przynosila pod salopka funt cukru, jakis zimny kotlet w papierze, kilka bułek; Obarecki nic nie przynosil, poniewaz nic nie mial, pozeral za to bulki i pozeral oczami „darwinistke”. Raz nawet, odprowadzając ukochana do domu, oswiadczył się o jej ruke. Roześmiała się serdecznie i pozegнала go przyjacielskim uściśnieniem ręki. Wkrótce potem znikla; wyjechała do guberni podolskiej jako nauczycielka do jakiegoś wielkopańskiego „domu”.

Spotyka ja teraz oto w tym zapadłym kacie, w tej wsi ukrytej w lasach, zamieszkaney przez chłopów samych, gdzie nie ma dworu, gdzie nie ma żywego ducha... Sama tu żyła w tej puszczy. Teraz umiera..., zapomniana...

Wszystkie dawne zachwyty, nie spełnione sny i pragnienia zrywają się nagle i biją w niego jak porywy wichru. Serce ścisza mu ból chorobliwy i jad namiętności wsacza się nieznacznie w krew wzburzoną. Powrócił na palcach do łózka chorej, oparl łokcie na jego poręczy i nasycał się widokiem nagich ramion, ktore cudownymi liniami kojarzyły się z zarysem piersi i szyi. Panienka spała. Na skroniach jej nabrzmiały żyły, z zagiętych ku dołowi kątów ust sączyła się ślina, gorąco od niej biło, powietrze wpadało do ust z głośnym świstem. Doktor Pa-

węł usiadł obok niej na krawędzi łożka, pieścił rękami miękkie końce promieni włosów, głaskał się nimi po twarzy, dotykał ich wargami z wydzierającym mu się z piersi szlochaniem.

- Stasiu, Stachno... kochanko... - szeptał cicho, aby jej nie obudzić - nie ucieczesz mi już... prawda? nigdy... moją będziesz na zawsze... słyszysz... na wieki...

Usiadł potem obok wezglowia chorej na stołku i zapadł znowu w marzenia. Bujna młodość zbudziła się w nim z letargu. Wszystko teraz będzie inaczej. Czuje w sobie siłę atlety do pełnienia uczynków, które z serca płyną. Boleść i nadzieja mieszają się jakby w płomień, który liże mózg, trawi go, nie da mu spocząć.

* * *

Noc mijała. Godziny upływały leniwo, lecz upłynęło ich już od wyjazdu posłańca więcej niż sześć. Była czwarta po północy. Doktor zaczął nasłuchiwać, zrywał się za każdym szelestem. Co chwila zdawało mu się, że ktoś idzie, że otwiera drzwi, że stuka w okno... Wsłuchiwał się całym niemal organizmem. Wiatr huczał, szyber w piecu kołatał - zresztą cisza znowu. I biegną minuty trwające po sto lat, w ciągu których niecierpliwość rozpręży nerwy i wprawia go w stan dygotania całym ciałem.

Gdy po raz szósty mierzył temperaturę, chora otwarła z wolna oczy, które w mroku rzęs wydawały się prawie czarnymi, patrzyła w niego z uporem i wyszeptała jakimś skrzeczącym głosem:

- Kto to?

Zapadła jednak zaraz w stan poprzedniego beczucia. Pocieszał się jak skarbem tą sekundą świadomości. Ach, gdyby mieć chininę, zmniejszyć jej ból głowy, powrócić przytomność! Posłaniec nie nadjeżdżał i nie nadjechał.

Przed świtem doktor Obarecki szedł wzdłuż wsi, po głębokich zaspach, łudząc się ostatnią nadzieją, że go zobaczy. Złe przecucie jak koniuszek igły wrzynało mu się w serce. W nagich gałęziach topoli przydrożnych glucho huczał wiatr, choć burza ucichła. Z chat wychodziły kobiety po wodę i dźwigały ją w konewkach, zagięte powyżej kolan. Parobcy „zadawali” bydłu, z kominów dym się wznosił. Tu i owdzie z otwartych na chwilę drzwi wybuchał obłok pary.

Doktor odnalazł chatę sołtysa i kazał natychmiast zaprzęgać konie. Sprzężono ich dwie pary i jakiś parobczak zajechał przed szkołę. Doktor pożegnał chorą oczami rozszerzonymi od znużenia i rozpacz, wsiadł na sanie i pojechał do Obrzydłówka.

O godzinie dwunastej w południe powracał wioząc swą apteczkę, wino, całe zapasy żywności. Stawał co chwila na saniach, jakby pragnął wyskoczyć i wyścignąć konie w cwał biegnące. Zajechał wreszcie przed szkołę, lecz nie wysiadał... Zdławiony krótki wrzask wydarł mu się z ust wykrzywionych prawie ukośnie, gdy ujrzał otwarte okna domostwa i gromadkę dzieci tłoczącą się w sieni. Szedł blady jak płótno do okna, zajrzał i został tam, łokciami oparty o futrynę.

W obszernej izbie szkolnej leżał na ławce rozebrany do naga trup młodej nauczycielki; dwie jakieś stare baby myły go... Drobne pyłki śniegowe wlatywały przez okno i osiadały na ramionach, na zmoczonych włosach, na półotwartych oczach umarłej.

Doktor poszedł do pokoiku nieboszczki, zgarbiony, jakby na ramionach dźwigał górę. Usiadł, nie rozbierając się, na krzeselku i powtarzał jeden wyraz, w który zmieściła się wszystka jego boleść:

- Czyż tak? czyż tak?

Było mu zimno, jakby zmarzł, zmartwił, jakby w nim krew zakrzepła. Nie cierpiał, nie wiedział, co mu jest, tylko po głowie toczyły mu się niby koła nie nasmarowane z przeraźliwym skrzypieniem.

Łóżko Stasi było rozmiezione: kołdra leżała na ziemi, prześcieradło zwieszało się na podłogę, poduszka przepocona leżała na środku łóżka. Druciane haczyki okien stukwały monotennie o ramy szyb; listki jakiejś rośliny, moknące w doniczce, zwieszały się i zwijały od mrozu.

Przez uchylone drzwi widział chłopów kłękających dokoła ubranego już trupa, dzieci modlące się „na książce”, stolarza zdejmującego miarę na trumnę.

Wszedł tam i ochryplym głosem rozkazał, aby zbić trumnę z czterech desek nie heblowanych, wiórów pod głowę nasłać. - Nic więcej... słyszysz! - mówił do stolarza z tajoną wściekłością - cztery deski, nic więcej...

Przypomniał sobie, że trzeba kogoś zawiadomić... rodzinę. Gdzież jest ta jej rodzina?...

Zaczął z tępą, idiotyczną zapobiegliwością układać na jeden stos książki, rejestry szkolne, kajety, jakieś rękopisy. Natrafił wśród papierów na początek listu.

„Kochana Helenko!

Od kilku dni czuję się tak źle, że prawdopodobnie przeniosę się przed oblicze Minosa i Radamantesa, Eakosa i Tryptolemosa oraz innych wielu z półbogów, którzy itd. W razie tego ?przesiedlenia się stąd na miejsce inne? zechciej zażądać od wójta mojej gminy, aby pozostała po mnie spuściznę książkową na ręce twoje wysłał. Opracowałam nareszcie Fizykę dla ludu, nad którą tyle nałamałyśmy sobie głów dziewczycy; opracowałam na brudno - niestety! Jeżeli ci czasu starczy - zawsze w razie mego przesiedlenia się na miejsce inne - uszykuj to do druku i zmusz Antosia, niech przepisze; on to dla mnie zrobi. Ach, co za smutek!... Prawda,!... księgarzowi naszemu winnam jedenaście rubli kopiejek sześćdziesiąt pięć... wypłać mu... Spencerem moim, gdyż pustki u mnie w szkatule. Sobie na pamiątkę weź...”

Ostatnie wyrazy nieczytelnymi już były pisane kreskami. Nie było adresu - nie można też było listu wysłać. W szufladzie stolika znalazł doktor rękopis owej Fizyki, o którym w liście czytał, zwiłki notatek i szpargałów, w szafce - trochę bielizny, salopkę kotkami podbitą, jakąś starą czarną sukienkę...

Krzątając się po pokoiku dostrzegł w izbie szkolnej chłopaka, który jeździł po lekarstwo; stał przytulony w kącie do pieca, przestępując z nogi na nogę. Zwierzęca nienawiść zadrgała w duszy doktora.

- Dlaczegoś na czas nie wrócił? - zawołał przyskakując do chłopca.

- Zabłądziłem na polu, koń mi ustał... piechotą przyszedłem rano... panienka już wtedy...

- Kłamiesz!

Chłopiec nie odpowiedział. Spojrzał mu doktor w oczy i dziwnego doznał wrażenia; oczy te były zmęczone i straszne, wyglądała z nich, jak z podziemnej jaskini, chłopska, głupia, zdziwiała rozpacz, podobna do niedocieczonej tajemnicy.

- Ja tu, panie, odniosłem książki, co mi ta nauczycielka pożyczyła - mówił wyciągając z zana-drza kilka wyszarzanych i zabrudzonych tomików.

- Daj ty mi pokój... idź precz! - zawołał doktor, odwracając się od niego i uciekając do poko-iku.

Tam stanął wśród porozrzucanych na podłodze rupieci, papierów, książek i ze śmiechem py-tał sam siebie:

- Czego ja tu chcę?... Nic tu po mnie, nie mam prawa! Obejmowała go cześć głęboka, zrozu-mienie, wwiadywanie się pilne, wielka pokora. Gdyby tam zostawał choćby godzinę dłużej, doszedłby do tego szczytu łańcucha gór, na którym siedzi szaleństwo. W sekrecie przed sa-mym sobą wiedział, że go zdejmuje obawa o siebie. W tym wszystkim, co go miażdżyło owej chwili, była ogromna niesymetria z nim samym, coś, co wyważało z głębi jego duszy osta-teczny rdzeń uczuć ludzkich: egoizm i - egoizm ten dusząc - kazało naprawdę dać się otaczać tęczy, która uniosła z ziemi tę głupią dziewczynę. Trzeba uciekać co prędzej... Zgodziwszy się na wyjazd natychmiastowy zaczął rozpaczać pięknymi frazesami, co było już ulgą znaczną. Kazał zajechać...

Pochylił się nad trupem Stasi i szeptał na jej uczczenie najpiękniejsze wyrazy, jakie wymarzyć mogły na chwałę wielkości puste serca ludzkie. Zatrzymał się raz jeszcze we drzwiach, obejrzał; przez sekundę myślał, czy nie lepiej by było umrzeć natychmiast, potem rozsunął gromadę chłopów przed drzwiami, wskoczył na sanie, przewrócił się na twarz i poniosły go konie, duszącego się spazmatycznym płaczem.

Śmierć panny Stanisławy wywarła wpływ niejaki na usposobienie doktora Pawła. Przez pewien czas czytywał w wolnych chwilach Boską komedię Dantego, w winta nawet nie grywał, gospodynię dwudziestoczteroletnią odprawił. Stopniowo jednak uspokoił się. Obecnie ma się znakomicie: utył, pieniędzy worek uczciwy nazbijał. Ożywił się nawet; dzięki jego usilnej agitacji wszyscy prawie optymaci obrzydłowscy, z wyjątkiem krzykliwych, prawda, ale też nielicznych konserwatystów, zaczęli palić papierosy w gilzach nie sklejanym, zaszczytnie znanych pod godłem „nieszkodliwych piersiom”. Nareszcie!...

ANANKE

Kochałem się czasu tej wiosny w pannic Zofii tak zapalczywie, że aż omdlewałem z gorąca. Upalne dni czerwcowe były dla mnie jakimiś olbrzymimi mirami mdłego smutku, nieskończonego wyczekiwania i melancholii rozjadającej duszę jak kwas żrący. Mieszkałem w takim kącie guberni s-kicj, którego nie dość że nic oznaczono na najbardziej szczegółowych mapach, lecz skąd nawet nic wyjeżdżało się już nigdzie, ponieważ dalej były tylko nic zbadane wydmy lotnego piasku oraz łany tataraki, tataraki i tataraki bez końca, sięgające prawdopodobnie wybrzeży Morza Bałtyckiego. Trzy razy na tydzień przyjeżdżała do stołecznego miasteczka mej okolicy „bieda” pocztowa, przywożąca mi listy panny Zofii, trzy razy chodził po nie szybko nogi posłaniec - poza tym istniałem tylko jako chodzące wysychanie z tęsknoty... „Bieda” przybija do progu stacji pocztowej, po przebyciu trzęsawisk czteromilowych, o godzinie jedenastej posłaniec stał już zawsze na progu o tej porze i „czochał się” plecami o odrzwia; nim jednak powrócił do domu i powymijał wszystkie karczmy przydrożne, była zazwyczaj druga, nieraz aż trzecia godzina po południu.

Ten właśnie czas osłabiał mię najbardziej. Chodząc od okna do okna oddawałem się na pastwę rozmaitych ćwiczeń umysłowych: uprzytomniałem sobie i segregowałem rozmaite zadziwiające nazwy, takie jak: „Czukizaka”, „Titikacha”, „Dawalaghiri”, wyliczałem na pamięć takie właśnie „aorysty”, których nieznamość przyprawiała mię swego czasu o „lufy”, mnożyłem godziny przez minuty, minuty przez sekundy, czasami nawet w sekrecie przed samym sobą posuwałem wielką wskazówkę zegara...

Właśnie podczas jednego z takich wyczekiwań na przybycie szybko nogiego wpadłem na pomysł mniej więcej genialny: - postanowiłem dla uniknięcia zwłoki sam jeździć na pocztę. Jeździłem tedy konno - „cichym, rzewnym, smutnym truchtem”, marząc z przymkniętymi powiekami o słodkich wyrazach „sowiookiej”, które na chwilę złagodzą dokuczliwą newralgię duszy, pociąganej na zewnątrz ciągle i nieodparcie do zamglonych krain szczęścia.

Stawałem przed samą pocztą zazwyczaj o godzinie dziesiątej, wchodziłem do biura, kłaniałem się panu Ignacemu i czekałem. Pan Ignacy był jedynym dygnitarzem swej kancelarii. Był to człowiek młody jeszcze, ale niesłychanie i przedwcześnie zdezelowany. Siedział zawsze przy biurku w surduciku przypominającym tużurki czasów kampanii węgierskiej, splamionym w jakich sześciuset miejscach, w niezwykle szerokiej, przydeptanej a oblepionej od dołu warstwą zeschniętego błota dolnej szacie i gumowym kołnierzyku - przekładał listy, tłukł je pieczęcią i pisał mrugając czerwonymi powiekami.

Miękkie, bladopłowe włoski nad jego czołem przeredziły się już znacznie - nie od nawału myśli zapewne, nie na znak nawet, że się żyło, lecz tak oto - z biedy - „wzięły” i wylazły. Koniuszeczek nosa w kształcie pięty i o kolorze rędziny proszowskiej poczerwieniał odrobinę nic od „szpagatówki” nawet, lecz tak oto - może od „chlipania” w sekrecie przed wszystkimi, z łez... Uczuciowcem był pan Ignacy, egzaltował się jak guwernantka.

Kancelaryjkę pocztową dzieliło na dwie połowy nie dosięgające sufitu przepierzenie, poza którym mieściło się prywatne mienie „naczelnika”. Zza przepierzenia dolatywał zawsze tłu-

miony płacz dziecięcy, trąbienie, gwizdanie, tupanie, odgłosy bójek, pisk, klapsy - czasami nawet takie dźwięki i zapachy, wobec opisu których pióro się wzdryga. Pan Ignacy był ojcem dziewięciorga dzieci.

- Dziewięć numerów, proszę łaskawego pana, jak maku, che, che, che... - mawiał przedstawiając mi już to Stasia, już Jasia, Wacia, Kazię, Manię, Józia itd.

Niejednokrotnie, gdy przyjechałem zbyt wcześnie i nie zastałem naczelnika, kupującego na targu masło, mleko, kartofle, kaszę itd., stawała w wąskich drzwiczkach przepierzenia pani naczelnikowa, dygała i usiłowała bawić mię rozmową.

Dość przymknąć oczy, aby z dziwną wyrazistością przypomnieć tę ofiarę monoandrii.

Nie sądzę, aby zdejmowała lub zmieniała kiedykolwiek stanik, połyskujący od stwardniałej warstwy wylanych nań już w odległej przeszłości płynów o przeróżnym składzie chemicznym, albo połataną spódnicę. Nie miała więcej nad lat trzydzieści, musiała być niegdyś bardzo ładną - wówczas jednak był to szkielet wyschnięty i znędzniały tak bardzo, że miał pozór rzeczy zmiażdżonej. Jej spiczaste ramiona, wystający obojczyk, zapadnięte piersi, posieczone ręce, twarz żółta, ze smutnie, niby do płaczu, zagiętymi ku dołowi kątami ust - przypominały, nie wiedzieć czemu, żrebię w pierwszym roku wprężone do pługa. Nie wiem, czy się kiedy czesała lub myła - bo ogonek zwiniętych włosów zawsze jednakowo sterczał na ciemieniu, lecz jakże często oczy jej musiały przemywać łzy gorzkie! W oczach tych było coś, co raziło dokuczliwie, co bolało niemal, jakaś nieustanna trwoga, coś, co jest na poły lżą, na poły osłupieniem.

Na uwieńczenie niedoli ta niezwykle urodzajna dama była znowu w położeniu, jakiego tak usilnie domagają się socjologowie i statystycy francuscy od płci pięknej ich francuskiej ojczyzny.

Myślenie pani Ignacowej nie przekraczało progu jej mieszkania: - nie umiała mówić o niczym, co nie tyczyło się bezpośrednio jej dzieci. Jaś miał ospę tej zimy, 3ózia przechodziła tyfus, Wacio szkarlatynę, tamten z wylażącymi z dziur w barchanowych niezapominajkach kolanami - krup, to maleńkie chore na żołądek, zapalenie płuc, febrę, kaszel, malarię, jakieś „ogniپیوری”, angielskie choroby, winka, emetyki, oleje, proszki, kataplazmy, bańki... - o, la Boga!

W wąskiej, wilgotnej i podobnej do paki izbie leżały wszędzie mniejsze lub większe sienniki, na poobdzieranej brutalnie sofce, na zsuniętych kuferekach i krzeselkach kołdry z wytarganą watą, poduszki i poduszcзки, wisiały i leżały ubrania dziecięce najdziwaczniejszych fasonów, suszyła się na sznurku mokra bielizna - i panował szpitalno-familijny zapach domowego ogniska.

Wchodziłem tam czasami, siadałem na kuferek i słuchałem opowiadań pani Ignacowej, licząc po swojemu minuty i sekundy. Opowiadała mi, że najstarszy, dziewięcioletni Staś jest bardzo dobrze przez miejscowego profesora przygotowany do egzaminu, że zda na pewno do klasy pierwszej, że nawet Boruch Kwiat podjął się po wielkich targach przerobić ufarbowany już na granatowo. stary surdut syberynowy na mundur, że już pewien poczciwy mieszczanin, stolarz, robi łóżko malowane na wyprawę Stasia za darmo - tylko... stacja...

Jakże straszliwie dźwięczał w jej ustach ten wyraz, jak boleśnie mdlały te szklane, tępo myślące oczy!...

Staś ów chodził między czeredą młodszego rodzeństwa w swych fantastycznie powykrzywianych butach i kurtce z wystrzępionymi łokciami, mruczał coś bez przerwy pod nosem, trzymając przed oczami jakąś gramatykę, a dla rozrywki i w sekrecie przed matką, dawał temu lub owemu „byka” w ucho lub stawał i najobojetniej dłuwał w nosie.

- Staś, ucz się! Staś, ucz się! Staś, ucz się! - powtarzała machinalnie, zasłyszawszy, że mruczenie zacichło.

Jeszcze pamiętam ten głos ostry, krzykliwy, będący wyrazem biednej, znikomej nadziei...

...Zdziwiłem się bardzo, gdy wszedłszy pewnego razu do biura nie usłyszałem za przepierzeniem żadnego głosu. Pan Ignacy siedział przy stoliku z głową bezwładnie leżącą na rękach. Nie od razu usłyszał moje powitanie, a gdy podniósł wreszcie głowę i obejrzał się na mnie przez ramię - poznałem, że go spotkało jakieś wielkie nieszczęście.

- Panie, co panu jest? - mówiłem pochylając się nad nim. - A nic... - odpowiedział niedbale.

- Gdzież żona?

- A diabli ją tam wiedzą, gdzie jest... Uciekła.

- Jak to uciekła?

- No, uciekła i basta... Daj mi pan pokój.

- Z gachem uciekła?

- Nie z żadnym gachem.

- A dzieci? Gdzie dzieci?

Podniósł się leniwo po tym pytaniu, podszedł do okna i stał tam przez chwilę. Ramiona jego kurczowo dźwigały się do góry, jakby się przeciągał. Potem odwrócił się do mnie, spojrział wzrokiem zabitym, jak patrzy lis zaszczuty, z odstrzelonymi nogami, gdy go dopędzają ogary - zbliżył się i zaczął mówić cicho, zeskrobując paznokciem krople zastygłej na stole stearyny.

- Widzi pan, ja...

I umilkł uśmiechnawszy się głupio. Zajrzałem mu w oczy, w same białka...

- A!... - wyszeptałem, zrozumiawszy.

Staliśmy obok siebie długo, w milczeniu. Kilka razy spoglądał na mnie ze strasznym smutkiem, z niewymowną zazdrością, jaką czuć musi człowiek skazany niewinnie na śmierć, gdy idzie między tłumami, które go nienawidzą, i nie dostrzega ani na jednej twarzy wyrazu współczucia. Widziałem, jak pragnie śmierci, jak nie ma w mózgu ani jednej myśli, a jeśli tam pracują jakie, to sprawiając wrażenie garści tłuczonego szkła.

- Chłopiec miał iść do szkół - zaczął mówić głosem ochryplym i zdławionym - nie mogłem... nie poważylem się na kradzież; na owinięcie palca nie skrzywdziłem nikogo, uczciwym człowiek... A wreszcie, za czymże się miałem rozpadać, kto na mnie wejrzał? Na moją nędzę?...

Niespodziewanie zaczął mówić szybko, coraz głośniejsze, drepcząc na jednym miejscu:

- Przyjechałem nad ranem, wywołałem żonę i mówię jej od razu - tak i tak... Tu stała, gdzie pan teraz - to, mówię panu, pary, suka, z gęby nie puściła, tylko mię ręką pomacała za ramię, popatrzała, pokiwała głową i poszła do izby. Zajrzę ja przez szparę: widzę - stoi przy oknie jak wiecha, beczy po cichuteńku, po swojemu, łza łzę pobija, a żeby słowo - nic! Zaraz poznałem, że źle. Przysiadłem tu na kufierku i dosiedziałem do białego dnia.

Rano wyleciałem na świat, bo mię tu coś aż dusić zaczęło od tej cichości; szedłem drogą chyba ze dwie wiorsty. Rosa była, chłód. Położyłem się pod lasem: leżę, a w głowie to tak, jakby kowal bił młotem w kowadło. Nieraz to mię tak ścisnęło, jakby we mnie jakiś człowiek wrzeszczał. Przeleżałem tam ze cztery, z pięć godzin; przyszedłem, bo godziny biurowe nadchodziły - słyszę: w stancji cicho. Zajrzałem za drzwi i zacząłem dygotać: nie ma nic. Wszystko panu pozostawiła, jednego gałgana nie wzięła, zagarnęła dzieci i poszła.

- Dokądże?

- Wypadłem bez czapki, lecę, ludzi się pytam. - Szosą, powiadają, widzieli, jak szła. Uleciałem z jakie pół mili: nie ma! Dopiero zda mi się spojrzeć na bok - idą boczną drogą, cały tabor. Kazię niesie na plecach, to najmniejsze na ręce, a resztę I zagania, zagania...

Wołać nie mogłem, bo mię w gardle ścisnęło, z sił opadłem. Jak mię zobaczyła, wzięła z drogi kamień jak bochenek chleba i szła do mnie. Tom się jej u nóg włożył, po trzewikach ca-

łował, w poprzek drogi kładł - na nic! Z nią nie poradzi: nożami ją pokraj - nie i nie! - Jak te dzieci zaczęły płakać...

Nagle odepchnął mię, skoczył we drzwi do izby i runął tam na łóżko. Gdym wszedł za nim, widziałem, jak wbił głowę w poduszkę i zaczął ją targać jak pies zębami. Rozległ się płacz dziki, okrutny, jakiś zwierzęcy...

Odszedłem; wynalazłszy list panny Zofii zabrałem go i nie wiem kiedy znalazłem się na siodle. Nie śmiałem i nie mogłem rozerwać koperty. A jednak - jakże niezmiernie czułem się szczęśliwym tą odrobiną faryzeusza, która jest w sercu. Tylko ani szelest wiatru, gdy koń pędził cwałem, ani list, który przyciskałem do serca, nie mogły mi wygnać z oczu obrazu tej znedźniałej kobiety idącej w świat bezmierny...

Zmierzch

Między grube pnie kilku świerków, co sterczą samotnie na skraju poręby, plamiącej mnóstwem czarnych pniaków zgniłozielony upłaz wzgórza, zsuwało się słońce pławiąc się w miedzianym blasku, podobnym do przejrzystego kurzu, nieruchomą warstwą nawisłego nad daleką widownią. Odblaski jego lśniły jeszcze na krawędziach chmur, wyzłacając je i zabarwiając szkarłatem, wrzynały się między fałdy szarych kłębow i szkliły na wodach.

W brzdach ściernisk i podorywek jesiennych, na sapowatych niwkach i świeżych karczowiskach, gdzie stały smugi wody po niedawnej nawałnicy, mieniły się rude plamy jak kawałki szyb przepalonych. Na szare, przyklepane skiby padał uciążliwy dla oczu, zwodniczy cień fioletowy, piaszczyste wydmy żółkły zielska na przykopach, krzaki na miedzach miały jakieś nie swoje, chwilowe barwy.

W głębokiej kotlinie, otoczonej ze wschodu, północy i południa podkową wzgórz obdartych z lasu, płynęła struga rozlewając się w zatoki, bagna, płanie i szyje, powstająca tam właśnie ze źródlisk zaskórnych. Dokoła wody na torfiastym kożuchu rosły gąszcze trzciny, wysmukłe sity, tataraki i kępy niskiej rokiciny. Nieruchoma czerwona woda świeciła się teraz spod wielkich liści grzybienia i szorstkich wodorostów w postaci bezkształtnych plam biało-zielonych. Nadleciały stadkiem cyranki, krążyły kilkakrotnie z wyciągniętymi szyjami, przerywając ciszę melodyjnym, dzwoniącym świstem skrzydeł, zataczały w powietrzu elipsy coraz mniejsze - wreszcie zapadły w trzciny, z łoskotem rozbijając wodę pierściami. Ucichł dudniący lot bekasów, głuche wołanie kurki wodnej. Ustało dowcipne pogwizdywanie kulików, poznikały nawet szklarze i modre świtezianki, wiecznie trzepoczące siateczkowatymi skrzydłami dokoła badyłów sitowia. Błądziły tylko jeszcze po świetlanej powierzchni głębin niestrudzone muchy wodne na swoich szczudlastych nogach, cienkich jak włosy a zaopatrzonych w kolosalne i nasyczone tłuszczem stopy i pracowało dwoje ludzi.

Błota należały do dworu. Dawniejszy młody dziedzic taplał się po nich z wyżłem za kaczkami i bekasami póty, póki wszystkich lasów nie wyciął, pól nie zostawił odłogiem i wyleciawszy nagle z dziedzictwa nie oparł się aż w Warszawie, gdzie teraz wodę sodową w budce sprzedaje.

Gdy nastał nowy, mądry dziedzic, biegał po polach z kijkiem i często nad błotami stawał, w nosie dłubiąc.

Gmerał w bagnie rękami, dziury kopał, mierzył, wachał - aż wreszcie wymyślił rzecz dziwną. Kazał karbowemu najmować dzień w dzień chłopów do kopania torfu, szlam na pola wywozić taczkami, na kupy składać, a dziury kopać precz, póki się nie wybierze miejsca na sadzawkę; wówczas groble fundować, dół na drugą sadzawkę wybierać niżej, aż ich się kilkanaście uzbiera; wtedy rowy rznąć, wody napuszczać, mnichy wstawiać i ryby sadzić...

Do wywożenia torfu najął się zaraz Walek Gibała, bezrolny wyrobnik, na komornym siedzący w pobliskiej wiosce. Gibała u dawnego dziedzica służył za fornała, ale u nowego się nie utrzymał. Nowy dziedzic i nowy rządca po pierwsze ordynarię i pensję zaraz zmniejszili, a po wtóre szukali w każdej rzeczy złodziejstwa. U dawnego dziedzica każdy fornał pół garnca

owsa swojej parze koni ujmował i niósł wieczorkiem do szynkarza Berlina za tytuń, za bibułkę, za kapkę gorzałki. Jak tylko nowy rządca nastał, zaraz ten interes zmiarkował, a że na Walka właśnie wina padła, w pysk mu dał i wygnał ze służby.

Odtąd Walek z babą siedział na komornym we wsi, bo służby znaleźć nie mógł; rządca wydał mu takie świadectwo, że niepodobna było zgłaszać się nawet gdziekolwiek do służby. We żniwa tu i owdzie po chłopach zarabiali oboje; ale zimą i na przednówku marli głód straszliwy, nieopisany. Ogromny, kościsty, z żelaznymi mięśniami chłop wysechł jak wiór, szerniał, zgarbił się, zesłabł. Baba - jak baba, u kumoszki się pożywi, grzybów, malin, poziomek nabiera, do dworu albo do Żyda zanieś i choć na bułkę chleba zarobi, a chłop przy młocce bez jedzenia nie podola. Gdy karbowy zapowiedział kopanie na łące, obojgu aż się oczy zaświeciły. Sam rządca trzydzieści kopiejek od wyrzucenia sążnia kubicznego obiecał.

Walek babę do kopania zajmował dzień dnia. Ona taczki naładowuje, on po tarcicach rzuconych przez bajora wywozi szlam na pole. Robota pali im się w rękach. Mają dwoje wielkich i głębokich taczek, nim Walek puste przyciągnie, już drugie naładowane; - szlę na ramiona narzuca i pcha pod górę. Żelazne kółko skrzypi przeraźliwie; rzadkie, czarne, cieknące, przerośnięte korzonkami błoto pierzcha i flejtuchami pada na obnażone do kolan nogi chłopca; gdy taczki z deski na deskę przeskakują, szła wrzyna mu się w kark i ramiona, wyciskając na kszuli czarną pręgę cuchnącego potu, ręce mdleją w łokciach, nogi cierpną i drętwieją od zanurzenia ich w szlamie - ale dwa kubiki na dużym dniu wybrane - to znaczy kawał grosza w kieszeni.

Mieli nadzieję, że pod koniec jesieni trzydzieści rubli odłożą, komorne zapłacą, beczkę kapusty zakupią, ziemniaków z pięć korcy, sukmanę, buty, zapasek ze dwie, szorc dla baby, płótna na koszulę, że przebiedują do wiosny, to młocką, to tkactwem u ludzi dorabiając.

Aż tu rządca po trzydzieści kopiejek od kubika wydało się zniecka za wiele. Zwąchał, że nie każdy się zlakomi od świtu do nocy w błocie gmerać, że im tam widać dobrze dojadło, kiedy bez namysłu do takiej roboty się kwapia; po dwadzieścia kopiejek - powiada - to dobrze, a nie, to nie...

Po chłopach w taki czas nie zarobi, dwór się swoimi ludźmi przy młockarniach i maszynach obywa - przebierać nie ma w czym. Walek po takiej zapowiedzi poszedł do karczmy i schlał się ze złości jak bydlę. Na drugi dzień rano babę wyprał i pojął ze sobą do roboty.

Od tego czasu - na małym dniu - te same dwa kubiki wyrzucają, od rannego brzasku do szarej nocy nie ustępując w robocie.

I teraz oto z dała noc idzie. Dalekie, jasnyniebieskie lasy szerniały i rozplývają się w pomroce szarej, na wodach blask przygasa, od stojących przed zorzą świerków padają niezmiernie cienie, na szczytach wzgórz, po porębach czerwienią się tylko jeszcze gdzieś tam to pniaki, to kamienie. Od tych punktów świecących odbijają się małe i nikłe promyki, wpadając w głębokie pustki, jakie tworzy pośród przedmiotów ciemność niezupełna, wibrują w nich, łamią się, drżą przez mgnienie oka i gasną, gasną po kolei. Drzewa i krzewy tracą wypukłości, bryłowatość, kolor naturalny i tkwią w szarej przestrzeni tylko jako płaskie kształty o dziwacznych zarysach, czarne zupełnie.

W nizinie zsiada się już mrok gęsty i pociąga chłód na wskroś przejmujący człowieka. Pomroka idzie niewidzialnymi falami, pełźnie po zboczach wzgórz, wciągając w siebie jałowe barwy ściernisk, wykrotów, osypisk, głazów.

Na spotkanie fal mroku wstają z bagien inne, białawe, przejrzyste, ledwo-ledwo widzialne, czołgają się smugami, kłębami okręcają się dokoła zarośli, dygocą i miętoszą ponad wód powierzchnią. Zimny powiew wilgoci mięsi je, tłucze po dnie doliny, rozciąga na płask jak postaw zgrzebnego płótna.

- Mgła idzie... - szepce Walkowa.

Jest to ta chwila zmierzchu, kiedy wszystkie kształty widoczne zdają się rozsypywać w proch i nicość, kiedy rozlewa się nad powierzchnią gruntu szara próżnia, zagląda w oczy i uciska

serce jakąś nieznaną zgrzyzotą. Walkową strach ogarnia. Włosy jeżą jej się na głowie i mrowie przechodzi po skórze. Mgły idą jak żywe ciała, podpełzają do niej chyłkiem, zabiegają z tyłu, cofają się, czają i znowu ławą suną coraz natarczywiej. Kładą na niej wreszcie wilgotne swe ręce, wsiąkają w ciało aż do kości, drapią w gardzieli i łechcą w piersiach. Wtedy przypomina jej się jej dziecko. Od południa go nie widziała: śpi samo jedno w zamkniętej izbie, w kolebce lipowej zawieszanej u stragarza na brzoźowych wiciach. Płacze tam pewno, zachłysta się, łka... Matka słyszy ten płacz przedziwny, żalony jak pisk kani na pustkowiu. Rozlega on się w jej uszach, nęka jakieś jedno miejsce w mózgu i drażni w sercu. Przez cały dzień nie myślała o nim, bo twarda robota rozprasza wszelkie myśli, unicestwia je prawie i mąci, ale teraz strach wieczorny zniewala ją do skupienia się, zaczepiania myślami o tę kruszynę...

- Walek - mówi trwożliwie, gdy chłop taczki przyciągnął - polecę do chałupy, naskrobię ziemniaków?...

Gibała nie odpowiada, jakby nie dosłyszał; zabiera taczki i rusza, przysiadając jak wór żyta na wadze dziesiątej. Gdy powrócił, kobieta błagała znowu:

- Waluś, polecę?

- Ej... - mruknął od niechcenia.

Zna ona jego gniew, wie, jak on umie chwycić pod żebro, zebrać w garść skórę, trzasnąć raz, drugi, a potem cisnąć człowiekiem jak kamieniem między szuwały. Wie, jak on potrafi zerżnąć jej szmatkę z głowy, omotać sobie pięść włosami i przewlec struchlałą kobietę kawał drogi albo w zapamiętałości wyrwać z błota rydel i ciąć przez łeb bez namysłu-zabije czy nie zabije.

Ale nad bojaźnią kary góruje niecierpliwa troska, podniecająca aż do bólu. Chwilami baba zamierza uciec: tylko się na bałyku zsunąć w wawozik, skoczyć przez strugę, a potem po roli, po zagonach, na przelaj. Schylając się i napełniając taczki leci myślami, skacze jak łasica, wyczuwa już prawie ból, gdy bosy biec będzie po ścierniach zarosłych drobną tarniną i jeżynami... Te ostre kolki kłują nie tylko jej nogi, ale przebijają serce. Dopada chaty, odmyka zasuwę drewnianym kluczem, bije jej na twarz ciepło i zaduch izby - spina się do kolebki... Zbije ją Walek, gdy przyjdzie do chaty, skatuje - a to i cóż: to tam już potem...

Skoro jednak Walek wynurzy się ze mgły, ogarnia ją lęk jego pięści. Znowu się modli pokornie, aczkolwiek wie, że jej ten zbój nie puści.

- Ady tam dziewczucha może uświerkla...

Nie odpowiedział nic, zrzucił z ramion szelkę od taczek, zbliżył się do żony i wskazał ruchem głowy palik, do którego muszą dziś dokopać. Potem ujął za rydel i zaczął raz za razem narzucać szlam na swoje taczki. Robi to zapamiętale, szybko, co tchu. Narzuciwszy pełne taczki, popchnął je, biegnąc cwałem, i rzekł na odchodnym:

- Pchaj i ty swoje, próżniaku...

Pojęła to łaskawe ustępstwo na rzecz jej miłości, tę grubiańską dobroć, tę twardą i surową jakby pieszczotę, bo jeśli narzucają ziemię oboje, robotę skończyć można daleko prędzej. Naśladowała teraz szybkie i skwapliwe jego ruchy jak małpa, narzucała błoto cztery razy szybciej - już nie mięśniami, nie z chłopską rozważną ekonomią wysiłku, ale mocą nerwów.

W piersiach jej rzeżało, pod powiekami migwały jaskrawe kolory, mdliło w piersiach i leciały z oczu łzy gorzkie, grube, łzy bezmyślnego bólu - w ten gnój zimny i cuchnący. Co wbije w ziemię rydel, to spojrzy, czy do palika daleko; gdy ładunek gotowy, chwytą taczki i biegnie „w dyrdy”, naśladowując chłopca.

Mgły wspięły się wysoko, zawlekły szuwały i nad szczytem olszyn murem nieruchomym stoją. Znać w nich drzewa jak plamy nieokreślonej barwy, dziwacznie wielkich kształtów, a nędzarzy biegających w poprzek rozdołu jak jakieś potwornie ogromne widma.

Głowy ich opadają na piersi, ręce wykonywują ruchy jednostajne, kadłuby zginają się ku ziemi...

Kółka taczek turkocą i skwierczą, fale podobne do rozcieńczonego wodą mleka kołyszą się między wzgórzami czarnymi. W głębinie niebios roznieciła się gwiazda wieczorna, płonie drżąc i ciska w poprzek mroków ubogie swoje światełko.

Elegia

Upodobania nasze (mówię o upodobaniach ludzi wielkich) trudne bywają częstokroć do wytłumaczenia. Ja na przykład namiętnie lubię przepędzać poranki na chórze naszego kościoła...

Zaledwie rozpocznie się „prymaria”, wstępuję na kręte schody z czerwonych cegieł, z których każdą wyźłobiły do połowy liczne pokolenia organistów, chodzących tędy Godzien' nie; otwieram małe drzwi i zawsze życzliwym uśmiechem odpowiadam na takiż uśmiech władcy chóru, pana Anzelma Wiewiórskiego, postaci znanej i popularnej w okolicy naszej, jak posąg Kopernika z Krakowskiego Przedmieścia w Warszawie.

Podczas gdy postać znana jak warszawski posąg Kopernika stwarza tony dziwne, niesforne, jakby obłąkane, z przyjemnością zapuszczam oko w ciemną głębię gotycką, pełną szczególnego półmroku, poważną i, nie wiedzieć czemu, naprowadzającą myśli smutne.

Biały, figlarny promień porannego słońca odchyła niekiedy przemocą kraj kotary z liści lip i kasztanów, osłaniającej wąskie okna, i wkracza w tę ustroń poświęconą Bogu: rozcina smugi i kłęby niebieskiego dymu kadzidła, skacze po zrujnowanej posadzce z piaskowca, wstępuje ostrożnie na brudne, chropowate, odwiecznym pyłem okryte, pełne płytkich zagłębień ściany, zagląda w szczeliny ocienione pajęczynami i wygania mroki wieczyste, co jak stada czarnych płazów wychodzą ze szczelin i uciekają przed nim w wiecznie ciemne kąty ostrołuków; jakby ze czcią dotyka marmurowych, kroplami wilgoci zalanych tablic pamiątkowych i zdaje się, pogrążony w zadumie głębokiej, odczytywać imiona mężów zgasłych od dawna...

Ile razy podmuch wiatru wzmoże się, gałęzie sosen, grabów z ledwie rozwiniętymi listeczkami i różowawe pąki kasztanów kiwają się, niby zatopione w modlitwie, i kładą na ramach okien. Wówczas spada, poślizgnąwszy się na gzemsie okna, szatanwiatr. Rozbija się śmiertelnie na kamieniach, zawyje z bólu, zepnie na pazury, pragnąc dosięgnąć okien, a widząc, że nigdzie wyjścia nie ma, chodzi jak złodziej dokoła filarów, cicho mrużąc, próbuje obrywać chorągwie i zrzucić obrazy - aż wreszcie poczyna bić głową o ściany, wić się w spazmach, łkając dzikim, przejmującym płaczem...

Zagłusza go dopiero jęk organów. Do jęku tego przyzwyczajonym być trzeba. Co do mnie, lubię te posępne, dysonansowe tony, podobne do głębokich westchnień nieszczęściem udęczonego chłopca, te ni stąd, ni zowąd w pochód tonów poważnych wpadające wesołe allegra, podobne do śpiewki dziewczyny, która upada pod ciężarem pracy w skwarne letnie południe.

Oprócz mnie i pana Anzelma obecny jest zawsze na chórze Tomek czy Szymek - „kalikancista”. Jest to wyrostek mniej więcej dwudziestoletni, mocno ospowaty, z głową w kształcie garnka, porośłą płowym włosom, który czesze tylko w niedzielę i święta „z wystawieniem”.

Oczy ma kalikancista bladoniebieskie, patrzące zawsze obojętnie, w próżnię, po chłopsku. Wiosenną porą ubranie jego składa się z dziwnie długiej zgrzebnej koszuli, pod szyją na czerwoną wstążeczkę związaną i przepasaną paskiem. Spod koszuli wymykają się spodnie sięgające do kostek. Wielkie, z żółtej skóry chodaki bez cholew dopełniają reszty jego odzieży.

Tomek czy Szymek jest własnością zarządu parafii. Wychowano go, nauczono śpiewać godzinki, kalikować, jeździć z dobrodziejem „po kolędzie” i spełniać wszelkie gospodarsko-kościelne obowiązki. Po nabożeństwie pasa bydło. Pan Wiewiórski zapewniał mię niejednokrotnie, że „bestyja” głos ma dobry - „dokumentny”...

Kilka dni temu trafiłem na nabożeństwo żałobne, odprawiane nad trumną młodej dziewczyny, jednej z najładniejszych i najbogatszych gospodarskich córek, zmarłej niespodziewanie...

Nad przyczyną tej dziwnej śmierci namedytowały się już ciotki i kumoszki, naszeptaly przyjaciółki. Pierwsze i drugie siedziały obecnie w ławkach i, ocierając mokre od łez twarze, kiwały żałośnie głowami.

Biała, sosnowa, w niebieskie kwiaty pomalowana trumna stała pośrodku kościoła na niskim katafalku, między dwoma szeregami gromnic.

Organista wyśpiewał już Dies illa..., wypadalo śpiewać „Witaj, Królowo nieba”... a że, jak mi się otwarcie przyznał, nie był „w sztosie” - kazał śpiewać kalikanciście. Mrugając figlarnie powiekami, nachylił mi się do ucha pan Wiewiórski i szeptał:

- Proszę ja pana dobrodzieja, ten, którego tu pan dobrodziej widzi, nicpoń, zalecał się także do nieboszczki Sroczanki... Ha, ha! A jakże... Bywało, pošlemy go paść bydło - juźci bydło w życie, a tego nie ma... Gdzie? Z Marynką na zapłociu wyszczerzają do siebie zęby. W zimie - ani utrymaj! Tu bydłu trza zadawać, a ten drze pod okna Sroki - mrygać na nieboszczkę, Panie świeć jej...

- Miał śpiewać? - wtrąciłem.

- No, dalej - jazda! - zakomenderował mistrz, zastępując ucznia w kalikowaniu i akompaniując mu jedną ręką. Chłopak zbliżył się ku organom. Oczy miał przysłonięte rzęsami, zbieiałe wargi drżały mu - „zawstydzany” był bardzo. Minęła długa chwila, nim śpiewać zaczął. Pierwszy dźwięk jego głosu słaby był, nieśmiały i drżący. Za pierwszym nastąpił drugi, bardziej już twardy, lecz jakby rozbity, podobny do dźwięku poderwanej nagle palcami struny wiolonczeli. Nagle Szymek podniósł głowę, wyprostował się, zbladł jak płótno, rękoma uczepił się balustrady chóru i zaśpiewał...

Głos jego wznosił się i jakby zaokrąglął, aż wreszcie rozlał się pieśnią szeroką.

Pierwszy raz słyszałem śpiew taki. Było w tym śpiewie coś porywająco swojskiego, jakby przed zmęczonym obczyzną wzrokiem odkrył się nagle krajobraz rodzinny...

Z oczu Szymka spadały krople łez. Nie śpiewał już, ale oddawał się szalonemu szczęściu, bezmiernej radości, jakiej doświadcza artysta w natchnieniu. Chwilami wiała z jego pieśni jakaś nieokielznana, dzika siła młodości - chwilami kołysała się ta pieśń w miłosnym wzruszeniu, jak się kołysze łan żytni pod wiatru podmuchem - by spaść za chwilę do drgających łkań.

Melodia znana stała się czymś nowym, oryginalnie stworzonym przez śpiewaka, i każdy jej dźwięk był okrzykiem niezławionej, brutalnej, chłopskiej namiętności, zanurzonej w otchłani oszalałego żalu bez wyjścia po bezcennej stracie.

Gdy wyśpiewał ostatnie tęskne tony, do nawoływań podobne, zasłonił oczy rękawem koszuli i jak szalony rzucił się ku drzwiom...

Po Sedanie

...Od sześciu dni cały szwadron dragonów pruskich ścigał szczątek naszego batalionu. Uciekaliśmy o głodzie, bez snu, na oślepie jak stadko owiec. Na nasze nieszczęście bez przerwy padał deszcz: - w lesie spać nie było można. Podeszwy kamaszów naszych przeniosły się do dziedziny wspomnień, a my pod ich nieobecność brnęliśmy boso po igłach i patykach leśnych, po kamieniach i piaskach. Nogi puchły od ran - ten i ów zostawał w lesie odpocząć - i kto wie, jaki go los spotykał...

Nareszcie wymknęliśmy się Prusakom na daleką odległość, dopadliśmy nad wieczorem folwarczku ukrytego między wzgórzem a lasem... Sen będzie! Co za rozkosz nadziemską... Ta straszna potrzeba, silniejsza od obawy śmierci, zwała nas z nóg, jak tylko gospodarz nasłał słomy w obszernej sieni domostwa. Zasypialiśmy, nie jadłszy po długim poście, nie rozbierając się z przemokłych i gnijących łachmanów.

Ja, aczkolwiek usnąłem po bohatersku, zbudziłem się pierwszy, gdy mnie dym zakrztusił. Przysiadłem na posłaniu i przez sen zacząłem się orientować: płomienie raziły mi oczy... Zerwałem się i jałem ciągnąć za włosy towarzyszków. Podkurzono nas. Dym jak z komina tłoczył się do naszej sieni z drzwi izby sąsiedniej, paliły się zabudowania folwarczne, rozlegał się trzask, łoskot. Ten i ów z kolegów, których biłem po twarzach i szarpałem za czupryny, sięgał do bagnetu, ażeby mnie przebić, i padał bezwładny. Rozbudzeni zaczęli mi pomagać, wysadzili okno i ciągnęli ku niemu śpiących.

Wreszcie powyskakiwali wszyscy.

Odnalazłszy w słomie mój sztucer belgijski, przypasałem bagnet i zacząłem się przy oknie.

Głuchy trzask rozlegał się raz po raz: wybijano ich po kolei jak kaczkę. Włosy wstawały mi na głowie...

Skoczyłem we drzwi, skąd dym wybuchał, mijałem puste izby, oświetlone smugami krwawego światła wdzierającymi się przez serca okiennic, i dusząc się w dymie doszedłem do jakiejś sionki.

Wybiłem okno, wyrwałem okiennicę i skoczyłem w kępę bzów rosnącą tuż pod oknami. Za bzem ciągnęła się błotnista droga, do której dotykała równina, jałowcem z rzadka porośla. Zaczaiłem się w krzakach, wietrząc Niemców jak pies. Zdawało mi się, że z tej strony nie ma nikogo.

Skoczę - myślałem drząc cały, choć spadały na mnie ogniste wiechcie palącej się strzechy - popelzną między krzakami... może nie dojrzą...

Jednym susem wypadłem na środek drogi i zgiąwszy się w pałąk zamierzałem dopełznąć do pierwszego krzaka... Nagle - ścierpłem! Naprzeciwko mnie szła rozwiniętym szeregiem kolumna konnicy. Na drodze szpilkę by znalazł od płonącego, straszego pożaru.

Stanąłem na środku jak słup, zdrętwiałem... Gdyby się wstrzymali, uciekłbym był pewno, choćby w płomienie - lecz że szli na mnie byстрыm kłusem, coś we mnie prysnęło. Na twarze wrogów, na ich konie, główce pałaszów padał czerwony blask ognia.

Wolno podniosłem sztucer i mierzyłem w środek szwadronu. Mierzyłem po bohatersku w środek kolumny ze trzy sekundy. Strzał padł. Oficer wyciągnął ku mnie pałasz, mignął nim, pochylił się na łeb konia i wolno zleciał na ziemię. Ja tymczasem nasadziłem na lufę bagnet. Skoczyło do mnie z wrzaskiem ze dwudziestu żołnierzy, mignęło ze dwadzieścia szabel. Zepchnąłem z siodła pierwszego, który mię dopadł, pchnąłem bagnetem drugiego, lecz bagnet trafił w pustą przestrzeń -gdyż usłyszałem wtedy, jakby nagle zadzwoniono naraz w jakich trzydziestu kościołach we wszystkie dzwony. Potem zacząłem lecieć do góry, na dół, do góry, na dół, coraz głębiej, coraz niżej.

Głos dzwonów ucichał, jakby wsiąkał w głąb ziemi. Nie wiem, jak to długo trwać mogło.

Otrzeźwiałem na chwilę.

Wtedy poczuł, jakby mi się czaszka rozłupywała, w czole palił mię straszny ogień.

Gdym dotknął tego miejsca ręką, dwa palce wsunęły się w jamę. Krew, szeroką strugą zalewająca mi oczy, napływająca we włosy, w usta i nos, krzepła.

Odgarnąłem ją z oczu, dźwignąłem się na kolana, odnalazłem omackiem sztucer i kiwając się zacząłem go nabijać, nabijać, nabijać...

Zdawało mi się, że nabił, przyłożyłem kolbę do szczęki i mierzyłem do nieprzyjaciół, których już prawdopodobnie nie było...

Lecz wtedy znowu poleciałem w szarą mgłę, po której latały czerwone iskry, długie niby żyły krwawe...

Złe przeczucie

Od godziny już ziewałem na dworcu kolejowym, oczekując nadejścia pociągu. Wytrzeszczałem z nudów oczy do kilku po kolei dam, również ziewających w rozmaitych kątach sali, do czekałem się nawet skutku „robienia oka”, gdyż jakaś młodziutka blondynka z białym nośkiem, usteczkami jak listki róży, z oczami jak listki błękitnej portulaki pokazała mi zwinięty w trąbkę język, czerwony jak listek polnego maku - i... nie wiedziałem, co dalej przedsięwziąć dla zabicia czasu.

Na szczęście weszło do sali dwu młodych studentów, zabłoconych aż do bród-mierzwinek, zmęczonych drogą i roztargnionych. Jeden z nich szczególnie, jasny blondyn o przecudownym profilu, był dziwnie rozmarzony czy zrozpaczony. Usiadł w kącie, zdjął czapkę i co chwila chował twarz w dłonie. Towarzysz kupił i wręczył mu bilet, usiadł obok i co chwila pociągał go za rękaw.

- Czegóż rozpaczasz? Jeszcze może być wszystko dobrze. Antoś, słyszysz...

- Nie... to darmo, umrze, ja wiem... ja wiem... może nawet już...

- Dajże pokój! Czy ojciec miał kiedy tego rodzaju ataki? - Miał... od trzynastu lat na serce chory; pił... czasami. Pomyśl, nas ośmioro, małe dziewczęta, matka słabowita. Do emerytury brakuje pół roku... To doła!

- Zobaczysz, że mu przejdzie, Antek!...

Dzwonek uderzył; w sali powstał zamęt, porywanie pakunków, deptanie się wzajem po odciskach, tłumne odpychanie od drzwi wchodowych szwajcara, gwar i zamieszanie. Wsiadłem do tego samego wagonu klasy trzeciej, w którym umieścił się blondynek student. Kolega odprowadził go, posadził jak chorego w kąciku ławki obok okna i usiłował pocieszać, choć mu to nie szło i słowa więzły w gardle. Twarz blondyna drgała od czasu do czasu kurczowo i powieki zsuwały się na jego zamglone oczy.

- Antoś, bracie - mówił tamten - zobaczysz no... jak Boga Kocham! przekonasz się, do wszystkich diabłów!... Zadzwoniono po raz drugi i trzeci, pocieszyciel wybiegł z wagonu i, gdy pociąg ruszył, przesyłał towarzyszowi dziwne ukłony, jakby mu groził pięściami.

W wagonie mnóstwo było ludzi prostych, Żydów, dam w salopach szerokich jak Zatoka Biskajska; gadano, zdobywano miejsca kułakami, palono papierosy.

Student stanął przy oknie i patrzył, patrzył...

Za spotniałą szybą przesuwały się pasy iskier jak rozpalone do czerwoności druty, kłęby pary i dymu jak wielkie kłaki waty, które wiatr darł na strzępy i ciskał o ziemię. Dymy te wlokły się po małych krzakach rosnących tam w dole na zmoczonej deszczem ziemi. Zmierzch dnia jesiennego zalewał krajobraz półświatłem, pełnym jakiejś nieopisannej, posepnej melancholii.

Biedny, biedny chłopiec...

Patrzył wzrokiem zagasłym, jakim patrzy pustka smutku bez granic, który zachodzi aż w dziedzinę mądrości. Wiedziałem, że w pustce tej jest jeden tylko rdzeń stały: - niepokój. Wiedziałem, że na ten rdzeń nawija się cieniutka niteczka nadziei, bardzo długa, wybiegająca z

jakichś nieznanymi krosien, ukrytych poza granicami świadomości. Nikogo nie widział, nic nie słyszał śledząc bezmyślnie kłęby dymu. Wiedziałem, jak mu jest źle, jak wolno posuwa się dłoń pociąg, jaki on zmęczony, jak by chętnie teraz płakał, gdyby mógł. Niteczka nadziei lechce mu serce: kto wie? - może wyzdrowieje ojciec, może się wszystko ułoży...

I nagle - zgałęm ! - krew uciekła z tej twarzy, wargi zbieleły i zatrzęsły się, szeroko rozwarte oczy z przerażeniem patrzyły daleko, daleko. W przestrzeni martwej dotąd i pustej - coś ożyło, jakby ręka z groźącym palcem wyciągała się ku niemu, jakby wiatr zawołał: - Strzeż się!

Nitka nadziei pękła i naga, nadmiernie bolesna prawda, w którą nie wierzył do tej chwili, przeszła mu serce jak miecz nagi.

Gdybym się był wówczas do niego zbliżył i powiedział mu, że jestem duchem, który wszystko wie, że wiem dobre dla niego wieści, że ojciec jego nie umarł w tej chwili - byłby mi upadł do nóg i uwierzył. Wyświadczyłbym mu łaskę niewysłowioną...

Lecz nie poszedłem do niego, nie uściśnałem mu ręki. Wolałem przyglądać mu się z pilną i nienasyconą ciekawością brata-człowieka.

„Ach! gdybym kiedy dożył tej pociechy...”

Prawie idylla

Wąziuchna sandomierska drożyna prowadziła mnie - Bóg ją raczy wiedzieć, dokąd prowadziła... Zapadała niekiedy na dno wąwozu i pełzła na jego dnie, blada z przerażenia wobec wielkich brył gliny, zwieszających się nad nią z groźbą i szyderstwem - to znowu dźwigała się hardo aż na szczyt wzgórza, skąd widać było całą równinę nieprzejeznaną, leżącą jak' ogromny kołacz pszeniczny...

Było popołudnie niedzielne jednego z pierwszych dni września. Powietrze dziwnie czyste pozwalało widzieć najdalsze przedmioty z całą wyrazistością ich zarysów. Pola okrywały się już ciemnoszmaragdowym puchem ozimin, dobywających się cieniutkimi źdźbłami, co jak mgła przesłaniały zagony z lekka wygięte, podobne do rąk długich, oplatających w miłosnym uścisku pierś ziemi. Niekiedy po szczytach okrągłych pagórków, po ziemi popielatej szedł cień chmury i zasepiał twarz ziemi, podobną do spracowanej twarzy chłopca, ale za chwilę uciekał, ścigany jasną smugą słońca. Wtedy wydawało się, że ziemia przeciąga się strudzona, że uśmiecha się i oddaje tej bezmiernej, nieświadomej radości, jaką czuje człowiek, gdy na progu jego serca staje miłość.

Daleko, daleko w przejrzystych mgłach, niby w ślubnych welonach, wśród zieleni wierzb i wiklin, na piersiach łąk leżał pas długi, srebrnolity. Jasna to była pani: dumna i piękna - Wisła. Drożyna zawróciła na prawo. Tuż pod stopami moimi, w głębi wąwozu, tuliła się wieś. Białe chatynki stały obok siebie wzdłuż drogi błotnistej, wysadzonej wierzbami o wielkich rosochatych głowach. Od jednej do drugiej szedł, zataczając się, szary, postarzały płotek z wierzbowych palików powiązanych wikliną. W maleńkich ogródkach pod oknami chat kwitły georginie.

Okna były pootwierane, wieś pusta.

Za trzecią dopiero czy czwartą stodołą usłyszałem głosy. Przeszedłem przez płot i wyjrzałem spoza węgła chaty - co oni to tam robią?...

Na trawniku pod lipą rozłożyła się niemal cała gromada: chłopcy leżeli na brzuchach, podpierając brody pięściami i nacisnąwszy na oczy „kapaluse”, baby i dziewczyny skupiły się opodal i z pobożnym wyrazem twarzy słuchały, wpatrując się w Wicka Dziabasa, co siedział pośrodku na przewróconym wiaderku i... czytał.

- Istna idylla... - pomyślałem - chłopcy przy książce!... Nadzwyczaj poważnie, powoli, monotonnie drżącym głosem czytał Wicek:

- „...Tu prze-rwał, lecz róg trzy-mał - wszystkim się zdawało, że Woj-ski wciąż gra jesse...”

Legenda o „bracie leśnym”

Rudolf von Speerbach zatrzymał konia tuż przy samej krawędzi płaskowzgórza i puściwszy z rąk lejce wysłał oczy na zwiady w poprzek krajobrazu, który się u stóp jego roztwierał. Po lewej ręce wznosił się szczyt Hochetzel, na prawo biegły garbate ogniwa przełęczy, w tyle murem stała świerkowa, głuchoniema puszcza Szwycu; w dole granatowymi smugami i kępami ciągnęły się lasy, zbiegające po falistych tarasach podgórza aż do wód jeziora, niebieskiejących w oddali jak okiem sięgnąć. Koń strzygł uszyna i mierzył wprawnym wzrokiem dróżkę, co gdzieś ukazywała się nisko, między drzewami. Ostrożne jego kopyto kilkakrotnie próbowało stapać po miękkiej murawie, ale rycerz zdarł cugle i osadził na miejscu swego ulubieńca. Daleko u podnóża wielkiej grupy Alp Glerneńskich widać było czerwony dach zamku Mürtschenstein i spiczaste jego wieżycy szarzące pośród ciemnej zieleni. Nie o spoczynku jednak w swym kamiennym gnieździe marzył w owej chwili rycerz zamyślony. Stał na strzemionach, wsłuchał się bacznie w ciszę górską, jak najpilniej przejrzał raz jeszcze całą okolicę, a potem zawrócił na miejscu, wjechał w las i ruszył wprost na przełęcz. Koń pobiegł szybko. Hełm jeźdźca błyskał na słońcu padającym już między drzewa, długi miecz dźwiękał trzaskając w strzemień i ostrogę. Ten hełm i miecz byli to starzy a ulubieni towarzysze wypraw pana z Mürtschensteinu. Z ojca na syna przechodził dziedzictwem w jego rodzie hełm stary, roboty prostackiej, pokazujący dokładnie kształt czaszki prapradziada rodu Speerbachów, zwanego Kudłatym Niedźwiedziem z Gaster. W tyle, od szczytu w linii niemal prostej spadając, miała ta gruba przyłbica na przodzie wycięcie szerokie i zupełne od brwi aż po szyję. Zniosła ona niemało uderzeń młota, pocisków kamienia, niejedyn zabójczy cios miecza, a przecie ani jedna pod nią czaszka nie pękła - toteż Rudolf nad cudnej roboty mediolańskie rynsztunki przekładał ją i nosić lubił niby zakład bezpieczeństwa. Jak zwykle miał tego dnia na sobie kaftan ze skóry pospolitej, lecz dobrze wyprawnej, lekką drucianą koszulę, spodnie z tęgiego rzemienia i chodaki ozdobione długimi kolcami. U siodła jego wisiał przymocowany łuk prosty w postaci krzyża, sajdak ze strzałami i topór wielki z jabłkowatym obuchem. Pomimo bowiem że Rudolf błąkał się teraz po lasach i górach zupełnie bez celu, to przecie nie zapominał, że jakiś wóz kupiecki przekradać się może w ustronnej dolinie albo zdarzyć na stromych reglach spotkanie z pastuchem unikającym płacenia haraczu - i dlatego tę broń niezbędną miał przy sobie.

Koń klusem wbiegł na szczyt przełęczy. Wiła się tam ścieżynka, przez kozy wydeptana w mokrej glebie, którą okrywały szorstkie trawy. Na zboczach rosły olbrzymie, starodrzewne świerki, poobwieszane siwymi mchami. Tu i owdzie straszliwe górskie wichry wysiepały z gleby wielkie drzewo, zwały je szczytem na dół i oddały kolosalny wykrot, sterczący zeschłymi korzeniami. Gdzieś cicho szemrały drobne strumyczki, biegnąc z pośpiechem do jakiejś urwistej krawędzi, aby stamtąd rzucić się z dzikim szumem na oślep, siklawą w głębokie rozpadliny.

Już kilkanaście dni baron z Mürtchensteinu wałęsał się w tych miejscach. Właśnie przed dwoma tygodniami zdarzył mu się wypadek niezwykle. Pewnego razu spał za dnia w największej izbie swego zamku. Dość już długo padały były deszcze nawalne i mżyły rozleniwiające człowieka siapawice. Owego dnia Rudolf był senny od rana, toteż nie wychylając się na świat wcale wysłał kilku ciurów, z przywódcą Radlobem na czele, dla zebrania daniny od pastuchów, których w taki czas najłatwiej było podejść, otoczyć i zmusić do wydania należności. Z twardego snu zbudziły go nagle szmery i szepty. Zerwał się prędko, usiadł na pościeli i przetarłszy oczy zobaczył w kącie izby, obok szerokiego komina, młodą dziewczynę, która siedząc na kamiennej podłodze patrzyła na niego wielkimi oczami. Przez okrągłe szybki z grubego zielonego szkła, wprawione w ołowiane ramy, sączyło się do stancji tak mało chmurnego światła, że Rudolf ledwie mógł rozpoznać rysy swego gościa. Domyślił się wszakże, co to znaczy. Ulubieniec jego, Radlob, bardzo często razem z wydartym podatkiem przywoził z wycieczki zdobycz taką, skradzioną w nocy z pastuszego szałasów albo jak bydłę na arkan złapaną. Baron stanął przy dziewczynie i podniósł ją w rękach z ziemi. Zaśmiał się radośnie na całe gardło, przyciągnąwszy ją siłą do światła i widząc dobrze jej twarz cudną, prawie czarną, opaloną w wiatrach górskich, jej ogromne czarne oczy, wymacawszy jej piersi małe i twarde niby jabłka, mięśnie rąk i nóg tęgie jak skręcone liny. Miała obyczajem dziewczek pastuszych włosy wysmarowane sadłem i splecione na głowie w duże węzły. Była półnaga, bo knechty chwytając, wiążąc postronkami i włokąc skrępowaną przy koniu, podarły na niej kaftan z wyprawnej, włosiem na wierzch odwróconej skóry i spódnicę z grubej wełnianej tkaniny. Na odgłos śmiechu pana Radlob uchylił drzwi i stanął u progu wyszczerzając zęby. Rudolf machnął nań ręką i zagadał do dziewczyny. Nie rozumiała go wcale i zaczęła z krzykiem coś mówić w narzeczu Romanów, potomków wojsk cesarowych, którzy zamieszkują sioła pasterskie na wzgórzach otaczających dolinę Gaster. Jej rzymski profil, wspaniałe oczy i krew kipiąca pod śniadą skórą zaczęły go upajać. Kiedy tak patrzył na nią z zachwytem, nagle rzuciła się skokiem na niego, złożony pięści zwała go w piersi i pchnęła na pościel, a wraz jednym podparciem ramienia wywaliła z ram okno i chciała skoczyć na brukowany dziedziniec. Skoro szaloną ujął w porę i zamierzył się do ogłuszenia mocnym ciosem, raptem wstrzymany został przez jej spojrzenie. Spojrzenie to zdawało się przebijać go na wskroś jak cios sztyletu. Chwyliła go nagle niechęć do tej dziewczki. Odwrócił się od niej i wahał przez chwilę. Później krzyknął na Radloba, żeby mu natychmiast siodłano konia. Gdy podkowy zadźwięczały na bruku, wziął dziewczynę mocno za ramiona, sprowadził ze schodów, przywiązał sznurem do siodła, wskoczył na koń i wyjechał za bramę. Jadąc tak ani razu na nią nie wejrzał. Dopiero stanąwszy w dolinie Lontschu, zwrócił w jej stronę spojrzenie. Na chwilę nie spuszczała z oka ani jego ręki, ani topora błyszczącego u siodła. Jej okrągłe, śniade barki drżały ciągle, zęby białe jak kły wilcze bez przerwy szczękały i pot kroplami stał na czole. W wąskiej szyi doliny Rudolf odwiązał nieznacznie linę od siodła, koniec jej cisnął na ziemię i zatrzymał konia. Dziewczyna patrzyła na każdy jego ruch spode łba i trzęsła się jeszcze bardziej, jakby w oczekiwaniu, że teraz właśnie wyrwie zniecka topór i rozwali jej głowę. Wszakże gdy spostrzegła, że baron siedzi na koniu bezczynnie i wcale na nią nie patrzy, jak lis wpełzła między gęste zarośla olszowe... Po chwili rycerz widział już tylko ślad jej stóp na mokrym piasku ścieżki i kołyszące się gałęzie krzewin, w których przepadła. Zdjęła go wtedy zabawna ciekawość zobaczenia, dokąd też poszła. Zsiadł z konia i prowadząc go za uzdę szukał ze śmiechem jej śladu. Mimo to jednak że miał wprawę niemalą w tropieniu zwierza i ludzi, nie odnalazł żadnego znaku, który by mu wskazał kierunek jej ucieczki. Wrócił tedy na drogę, wskoczył na siodło i pojechał do domu.

Od tego dnia spochmurniał. Naprzód myślał o tej dziewczynie z niechęcią, nawet z odrazą, w głębi której był jednak jakiś żal żywy i bolesny czy wstyd niespokojny. Z dnia na dzień ten wstyd zdawał się rozjątrzać, jak nieczysta i samej sobie zostawiona rana. Następnie stała się z Rudolfem von Speerbach rzecz niepojęta: zapragnął owej dziewczki cuchnącej kozim nawozem

- uczuciem wszechpotężnym, na śmierć i życie. Chciał zobaczyć znowu za jaką bądź cenę jej śniadą, chudą twarz, gibkie ruchy wysmukłego ciała i te oczy, w których niby w mroku błyszczała chytrość, nienawiść i męstwo wychowane nad przepaściami. Podniecany przez to niezłomne pragnienie, dniem i nocą tułał się po puszczy. Codziennie zajeżdżał do tego miejsca, gdzie spuścił brankę z powroza, i patrzył na dzikie wody kipiące wśród głazów. Głuchy jęk pian bijących z wściekłością o granit, ryk szalonego potoku, który się wydziera z kamiennego więzienia - sprawiały mu niejaką ulgę. Jadąc po grzbiecie przełęczy w las gęstszy Rudolf rozchyłał co moment gałęzie malin i gęste zarośla, nasłuchiwał, czy nie odezwą się klekotki krów albo granie na rogach, za pomocą którego zwołują się pastusi. Tu i owdzie roztwierały się na szczytach małe łysiny górskie o pożółklej już trawie, a z nich widać było wielkie turnie. Wyszedł już był z chmur Glarnisch ze swym białym szczytem Vrenelisgratli, podobnym do nachylonego stołu; niezmierny Tódi z grzbietem zgarbionym pod brzemieniem wielkiego lodowca - i cały łańcuch dziwnych potworów. Wszystkie trzęsły się w oparze wstającym z nich za sprawą promieni słonecznych - niby straszliwe monstrum, które ziaje zdyszane.

Perć nierówna i gubiąca się w trawach skręciła na jednym z takich placów znowu ku szczytowi. Zwisły nad nią leszczyny i ocieniały ją zupełnie. Rudolf schyliwszy się na szyję konia wjechał w tę uliczkę. Słońce przelewało się tam przez gaj liści i białymi, ruchomymi plamami kapalo na zioła wysokie, soczyste, utajone w mroku fioletowym. Nagle rycerz posłyszał w głębokiej ciszy śpiew dochodzący z oddali. Wkrótce koń stanął przed drzwiami zagrody, przypartej tylną ścianą do wysmukłej, szarej skały, która sama jedna sterczała między drzewami na szczycie góry. Drzwi były otwarte i wielki, złoty promień wpadał przez nie do wnętrza. Rudolf zsunął się z konia, podszedł zza węgła na palcach i zajrzał w głąb domostwa. Zobaczył tam starca tak zgrzybiałego, że łysą jego czaszkę powlekała jakby pleśń żółtawozielona, który klęczał na ziemi tyłem do drzwi zwrócony i śpiewał wyciągnawszy ręce. Dłonie jego były mocno ściśnięte i jakby załamane boleśnie. Na nogach miał ten dziadovina drewniane trepy, na grzbiecie sukmanę krótką i obstrzępioną a sięgającą zaledwie do kolan, z tkaniny najgrubszej, jaką wyrabiali dla pastuchów mnisi klasztorni w Lucernie. Łydki miał całkiem nagie i gęstym włosom porośłe. Rzadkie włosy, wyrastające za uszami i w tyle jego czaszki, jak srebrne nici leżały na brunatnym kołnierzu. Izba owa była kurna i prawie zupełnie pusta. Kupka węgla tliła się na środku gładko ubitego klepiska, pod ścianą leżał rozłożony wygrabek suchego siana, a obok drzwi stało kilka kazubów z olszowej kory, pełnych poziomek.

Przez długą chwilę Rudolf przypatrywał się dziadkowi. Zdjęty chęcią zobaczenia, czy w kątach izby nie ma czegoś, co by się do zrabowania nadawało, wsunął głowę i zasłonił wejście swoją osobą. Cień padł na podłogę i ścianę. Starzec wstał z klęczek i nie przestając śpiewać zbliżył się do drzwi. Wtedy baron zobaczył jego twarz zgrzybiałą, a jednak jeszcze dość czerstwą i okraszoną na policzkach nikłymi rumieńczkami zdrowia. Czarne, przenikliwe oczy świeciły się jak diamenty w jego obwisłych powiekach. Z nagła przestał śpiewać, szybko zbliżył się do rycerza i ostro go zapytał:

- Coś za jeden i czego chcesz, bracie?

- A ty co za jeden jesteś, stary grzybie! - krzyknął Rudolf wchodząc do izby.

Gdy stanął w chałupie, głową dosięgając dranic powały, dziad spojrział na niego, na stary hełm, zmrużył powieki i wstrząsnął głową.

- Przyłbica Kudłacza z Gaster. Tak to, tak... - szeptał. - Skąd ty ją masz, młody rycerzu? Czy może sam nim jesteś, zbójem z Mürtschensteinu?

- Tak, jam jest baron na Mürtschensteinie, którego ty, chłopie podły, ośmieliłeś się zbójem nazwać! - wrzasnął Rudolf chwytając starca za kołnierz habitu.

- Puść mię, baronie na Mürtschensteinie - rzekł dziad z uśmiechem. - Zbójem jesteś, łupieżcą i cudzołożnikiem. Przychodzą tu do mnie od dawna ludzie ze skargą na ciebie. Odbierasz od nich nie tylko podatek, który ci się należy, ale także kradniesz im bydło i gwałcisz ich kobie-

ty. Nie dawniej jak wczoraj przychodził do mnie ze skargą na ciebie cały ród. Słudzy twoi porwali dziewczynę...

- Ty wiesz, dziadu, gdzie ona jest? Ty wiesz?... - przerwał mu baron.

- Wiem i zakazuję ci!...

Zanim zdołał wymówić myśl swoją, rycerz chwycił jego rękę i potrząsając nim wołał:

- Prowadź mnie do tej dziewczki, prowadź mnie natychmiast! Nic ci złego nie zrobię, jeżeli mi będziesz posłuszny, albo ci łeb rozetnę na dwoje, gdybyś mi się sprzeciwić zamierzał.

Wtem stary pustelnik wyrwał się z rąk siłacza, dźwignął swe schylone ramiona, szybko podszedł do ściany i zerwawszy z niej mały krzyż żelazny stanął przede drzwiami chaty i piorunującym głosem zawołał:

- Oto jest krzyż Zbawiciela świata! Przez niewinną jego mękę przeklnę cię, rozwiążę sługi twe, poddanych i chłopów z posłuszeństwa, odłączę cię od społeczeństwa szlachty, zakazę ci uczestnictwa w kościele, ażebyś zdechł z głodu i przez psy był rozszarpany jako niewierny!

- Ty mnie przeklniesz? Ty mnie? - wołał Rudolf trupio blade. - Ty, chłopie...

- Tę aż zaszedł uciekając od waszych zbrodni, zbójce i łupieżcy! Tu Bogu służę w tej puszczy. Jeżeli nie uczynisz pokuty publicznej...

Rycerz tyłem wycofał się z izby i usiłował wskoczyć na siodło. Trwoga śmiertelna jak wilk rzuciła się na niego, kiedy starzec wspomniał o pokucie publicznej.

- Nie, nie ucieczesz! - wołał dziad idąc za nim. - Wróć się natychmiast i uczynź pokutę, inaczej grozi ci klątwa.

W przerażeniu i wściekłości Rudolf chwycił za rękojeść miecza i ze złowrogim błyskiem w oczach szedł z wolna ku starcowi.

- Grozisz mi klątwą?... Któżes ty, co mi grozisz? - szeptał z cicha.

- Jestem Recho, baron Speerbach, stryj twego ojca...

- Recho... - wyszeptał Rudolf upuszczając w trwodze miecz na ziemię. - Recho poszedł na wyprawę do Lombardu z cesarzem Ottonem i tam... zginął. Włości i ludzi oddał mniszkom w Benken.

- Zginałem dla was, zbójcy, przyszedłem tutaj, ażeby bronić od was tych, których okradacie. Patrz zresztą na mnie! Oniemiały rycerz spojrział na starca i musiał przyznać, że ma przed sobą barona Recho, gwiazdę allemańskiego rycerstwa. Posunął się o krok ku niemu i wyciągnął rękę, ale zimny starzec rzekł surowo:

- Uczynisz pokutę.

- Dziadu - rzekł Rudolf rzucając mu się do nóg i całując jego stopy.

- Odpasz miecz, rzuć łuk na ziemię, zdejm chodaki i hełm! Pójdiesz bosy, z odkrytą głową do Lucerny i tam odprawisz pokutę.

- Dziadu... - błagał Rudolf nie odejmując ust od nogi starca. - Wstań i pójdź! - odpowiedział Recho.

Gdy słońce wzbilo się nad wysokie szczyty, pustelnik Recho jechał na koniu barona Rudolfa, szepcząc po cichu modlitwy. Przed koniem szedł bosy i bezbronny pan na Mürtschensteinie, zdążając w poprzek wielkiej puszczy w kierunku pięknych Mitenów, stojących jak kolumny na dalekim widnokręgu.

Puszcza jodłowa

Panu Aleksandrowi Janowskiemu wyraz braterskiej czci

W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości - choć tyle już lat nie dano mi go słyszeć na jawie! Przebiegam w marzeniu wyniosłe góry - Łysicę, Łysiec, Strawczaną, Bukową, Klonową, Stróżnę - góry moje domowe - Radostową i Kamień - oraz wszystkie dalekie siostrzyce. Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciągam zdrowymi płucami tameczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmierzone, nieskazitelne, przeczyste dobro - zimne, nie skalane oddechem, zgnilizną, brudem, pyłem - lecz ktoś inny, kogo już dawno nie ma, młodzieniec, który niegdyś w mym jestestwie przebywał. Nieraz mi się wydaje, że go wcale nie było, że to po prostu jedna ze zmyślonych figur, które wynajdywać w nicości, tworzyć, kształtować i pokazywać ludziom za pomocą pisaniny było moją manią od dzieciństwa - że to Rafał albo inny jaki bujał niegdy tamoj po górach. Tamten ja, miniony i nie istniejący, z bronią na ramieniu, nachyla się nad burzliwą, kipiącą wieczyste wodą źródła świętego Franciszka i przegląda się w jego czystej powierzchni, czyste j jak łza, ażeby ze swego odbicia czynić wnet przedmiot baśni, bohatera, postać nie istniejącą a najbardziej bliźnią, quidam tajemnicze, byt dwunogi, godny wieloaktowego dramatu albo godny epepei w dziesięciu pieśniach. Tamten siaduje nad brzegiem wartkiego strumienia, co ze źródła świętego Franciszka wybiega, co śmiga w dół i snuje się po kamieniach. Tamten wysłuchał, jaki to puszcza szeroka wydaje głos za wiatrem przypadającym i odchodzącym, a mnie o tym przez całe moje nędzne życie podaje wieść.

Znawcy dziejów ziemi, co jak niedosięte krety bobrują po warstwicach skorupy, latają niczym ptaki po łąkach i morzach przeddziejów, a skaczą po tysiącletniach chyżo i pewnie, wmawiają we mnie, że zburzyszcze na szczycie Łysicy, osędziałe od mchów, utkane paprocią i kwieciem, że kwarzec świetlisty od miki i połyskliwy od górskiego kryształu, co w szczycie pasma zalega - tai w sobie odgnioty wielkookich raków morskich, zagrzeżłych ongi w piachach tego przed wiekami wybrzeża oceanu północy. Tak jest czy inaczej - niechże oni zajmują się tymi pośmiertnymi raków dziejami. Ja śmierci nienawidzę. Uwielbiam nowe życie tej krainy, choćby ta jego nowość sięgała pierwszego porostu trawy morskiej na tym naszym cmentarzu.

Widzę jeszcze dziecięcymi oczami wielkie raki żywe, stwory czarne o formie dziwacznej, straszącej wyobraźnię dziecięcą, jak suną po jasnym, gliniastym dnie potoku, co z mej góry rodzimej spada w rozpędach, zakrętach, półkolistych obiegach i nagłych w dół popławach. Soczyste nad nim trawy, kaliny, tarki, wilcze łyko i bujne łądygi, wewnątrz puste, wielkimi liśćmi nakryte, których pień łyckiem cienkim obciążony tak się świetnie nadaje do wciągania w usta lodowatej wody ze źródła, wody, co łupie w zębach. Zarośla z brzegu na brzeg przerzucone splatają się między sobą. Chmiel je obwija, a przetykają leśne maliny. Srokosze w ich gęstwinie kuja swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukułka bawi się w chowanego z rozbawioną, z rozigraną dziecięcą duszą. Czarne cienie jodeł kołyszą się rytmicznym tanem

na wiosennej murawie bezmiarem kwiatów zasłanej. Wielorakobarwne, nakrapiane i pisane motyle latają z miejsca na miejsce, jakby szukały tego tajnego schowanka, gdzie się kukulka ukryła. Dzwonny szmer ponika wrywa się z łożyska, chcąc się do zabawy przyłączyć, lecz żywe jego wody, porozdzierane przez głązy na liczne strumienie, muszą uciekać, uciekać w dolinę. Migocą tam w słońcu, mienia się, połyskują, błyszczą obraz wieczny jedyne prawdziwego szczęścia, istotnej, niepodzielnej i skończonej radości życia. O potoku, potoku, gdzieżeś to poniósł, gdzieżeś to podział tamte wody!...

Zaznajomiłem się był dobrze w ciągu wielu młodości lat z wodami żywymi tej leśnej Nidy, co się z czystych potoków w bujną rzekę rozrasta. Obejmowała mię niegdyś przychylnym, lodowatym ogarnięciem, gdy się w jej czarne głąbie ufnie rzucał po twardym, po kamiennym śnie, skoro tylko świt za szczytem Łysicy niebo zrumienił. Nosiła mię na łonie swym jak dobra matka, gdy się pływałem stojąc, na wznak, na piersiach i na bokach. Wyrzucała mię z wnętrza swego na powierzchnię siłą potężną głąbiny niezgruntowanej, najeżonej rosochatymi kłodami drzew puszczy ongi zwałonych, w dno wrosłych - gdy się zbyt długo nurkiem po jej tajnikach chodził. Znałem się wówczas na obyczajach i naturze ryb, na chytrłości, mądrości i instynkcie dzikich kaczek, cyranek, bekasów, kurek wodnych, grzywaczy i jastrzębi. Przeszpiegami i chytrą ludzką odpowiadałem na przespiegi i obronne sposoby rogaczy, lisów i zajęcy. Byłem myśliwcem i rybakiem - z nazwy zresztą bardziej niż ze skutecznego efektu łowieckich zabiegów. Byłem bowiem największym (bo jedynym) na całe Świętokrzyskie Góry poetą udającym myśliwca i rybaka. Miałem w sobie lekkość lisa, nogi jelenia i jak gdyby skrzydła bekasa u ramion. Pisałem swe marne wiersze w lasach i wertepach - w ciągu długich letnich deszczów pod cieniem olchy obwisłej w nadnidziańskim smugu - pod daszkiem brogu na wilkowskim ugorze - oraz w leśnych kapliczkach obok klasztoru Świętej Katarzyny.

Układałem dramaty, już wówczas niesceniczne i chybione, z powstańczych legend tego zapadłego kraju, gdzie jeszcze był nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników - gdzie jeszcze ściany przydrożnej austerii czarne były od kul i podziurawione jak rzeszoto, a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je w moje uszy jak do składu - a czasem tym dzielił na części swe życie przed - i popowstaniowe. Układałem nieskończone i, oczywiście, źle zbudowane powieści o chłopie Marku z Krajna, co w powstaniu własną swoją, chłopską partią dowodził, i wyciągałem epos o przekętym i wykętym zdrajcy z tejże wsi - Janicu - co za wydanie spisku Ściegiennego - chwały naszych czarnych lasów - orderu, pięć kolonii w nagrodę otrzymał, a sam rozpił się, na dziada zeszedł i w przydrożnym sypiał rowie.

Widzę cię we wspomnieniu, świątynko mała, dawnego eremity domku, kołysko moich - żal się Boże! - poezji... Otoczona ze wszech stron płotem z żerdzi jodłowych, stoisz pośrodku łąki pachnącej. Drzwi twe dawno spróchniały, zamek ich zardzewiał i już nie spaja połowic. Wiatr, nie znoszący tajemnicy i zamknięcia, rozwalil je we dwie strony, przyparł do ścian i raz na zawsze otworzył. Zgniły i zapadły się drzwi w podłodze, prowadzące do sklepu pod ziemią. Oglądaj każdy, ktoś ciekaw, co tam jest w głąbi! Leżą na dnie wyschłe, suche, w zbutwiałej trumnie zwłoki niewiadomego polskiego rycerza. Jest to może ten sam rycerz, co na żelaznej pięści podparty, a przyłbicę zamczystą mając u wezłowia, śpi na marmurowym pomniku w starym klasztornej kościele Świętej Katarzyny. Ten sam to może, którego życie, łacińskim wysławione opisem, siostry zakonne w chwalebnej gorliwości o czystość świątyni rokrocznie na Godne Święta malują wapnem od góry do dołu tak porządnie i skutecznie, iż z peanu sławy rycerskiej widać jedynie liczne, lecz nieczytelne wgłębienia, a i sam rycerz wraz ze swą epopeją w wapienną bryłę się zmienił i stał niejako podwaliną niemej ściany.

W kapliczce leśnej można pewno i dziś jeszcze czytać napisy po ścianach, ostatni raz bielonych - na szczęście! - przed powstaniem. Jeden z nich, wryty jakimś ostrzem, głosił słowo mało zrozumiałe: „Szczyt moich cierpień zrównał się z tą górą. 1863” w Nie było imienia i nie było nazwiska. To jakby ów rok wszystek - 1863 - ostrzem strzaskanego pałasza czy złama-

nego bagneta na niemych murze, dla nikogo, te słowa wypisał. Obok tego oświadczenia, które się stało osnową pewnej krwawej tragedii, co całkowity brulion za całe czterdzieści groszy wypełniła sobą od deski do deski - widniały wydrapane na murze nazwiska: „Stefan Żeromski, uczeń klasy drugiej” - a niżej, tuż pod tamtym: „Jan Strożecki, uczeń klasy drugiej”. O ile ów, z roku 1863, zanadto pilnie swe nazwisko zataił, o tyle mydłaj, uczniowie klasy drugiej, czyniliśmy wówczas dla uwiecznienia naszych, co się tylko dało, co było w naszej mocy. Jan Strożecki i później czynił, co się tylko dało, co było w jego mocy: w najsroższy Sybir na wytrwaną z moskiewskim caratem chodził bez trwogi, a potem, po latach walki, we Francji, godnie, jak przystało na towarzysza naszej ławy w kieleckiej szkole, zginął ratując tonącego człowieka. Ale - o Janku! - jeśli siostry zakonne na któreś Godne Święta odmalują kapliczkę bożą u podnóża Łysicy na leśnym skraju, i twoje jedyne epitaphium, i ślad mej glorii, największego poety między Łysicą i Radostową Górą, wniwecz pójdzie, w nieme i martwe wapno się zamieni, tak samo jako chwała rycerza w dole. Tylko konwalie i poziomki nie zapomną o wolnych duszach rycerzy. Dookoła starej kaplicy w trawach bujnych woniejąc, pchać się będą, jak zawsze na wiosnę, ku drzwiom roztworzonym, przechylać owoc rubinowy i kwiaty białe poza próg spróchniały, jakby w zbożnym zamiarze, by bojownikom, zapomnianym przez ludzi, oddać zapach swój, tymian pozgonny.

Zdobywanie przestrzeni za dni młodości za pośrednictwem mocy mięśniowej, która tak bez wysiłku dawała sobie radę z odległościami, wycisnęło swój obraz niezatarty na pojmowaniu, a raczej na uprzytomnieniu sobie wszelkich wymiarów. Miarą przestrzeni była i jest dla mnie odległość różnych miejsc w tamtych stronach. Dwie wiorsty - to polna droga z Ciekot do Wilkowa, trzy wiorsty - to gościniec z Krajna do Górna, trzy mile - to linia prosta z Kielc do Świętej Katarzyny. Każda trudna, duża i ciężka praca jakiegokolwiek natury, literacka, biblioteczna czy inna, obrazowo i porównawczo mierzy się w mej wyobraźni, w mej sile mięśniowej i nerwowej na wysokość góry Radostowej. Jestem oto u jej podnóża, w Leszczynach, w Mąchocicach, w Bęczkowie - jestem na pierwszym garbie, na drugim, na trzecim - jestem niedaleko wierzchołka - jestem na szczycie! Widzę już mój kres i mój cel: rodzinny dom! Schodzę z rozmachem w dół. Otom już u granicy naszych pól.

Widzę drzwi, przekraczam próg... Upadam po trudzie na cichy i radosny spoczynek...

Jak ja, tak samo wszyscy dawni ludzie, którzy niegdyś wdzierali się na te góry i przemierzali wielkie lasy, poili się tym samym jedlanym szumem, ten sam zapach wciągali nozdrzami i tym samym czystym powietrzem napełniali płuca. Pierwszy, co wtargnął z oszczepem-li czy z siekierą brązową w dłoń, z południa od strony Wiślan czy z północy od strony Mazowszam przyszedł przed czasami, które ima i swoimi sposoby utrwala dla potomnych plotka człowiecza - drżał pewnie w sobie patrząc struchlałymi oczyma w puszcze Łysicy. Widział bowiem wokół siebie drzewa srogie, zwartym ostępem stojące, wyniosłe, borem niedosięgłym dla szybkiego spojrzenia wyległe w dal milami. Lękliwa cześć napełniała jego duszę, gdy mierzył nieznanne i niewidziane, grube, obłe, potężne pnie, podarte od przepęknień i okapane obarami żywicy, na sto łokci wybiegające pod niebo. Krzywymi pazurami korzeni wszczipione między omszałe, sterczące i nawalone skrzyżale, między rumowie, które zwietrzały kwarzec górski wytwarza - spłaszczonymi koronami chwiejące się za wiatrem tam i sam - obwieszane ciemnozielonymi wieńcami igieł ulistwienia - obarczone licznymi ramionami spławów potężnych - pachnące balsamicznym olejem w nasionach zawartym - śpiewały przed nim własny poszum swój, puszczańskie wzdychanie, niemowny śpiew, który wszystko ludzkie zna i wspomina. Z ciemnej lasu głębiny szedł na jego duszę, nastawał i napastował głos dawien-dawny, nieodmienny, głęboki - wysoki, ostrzeżenie i napomnienie, śmiech i płacz, duma zamierzająca w pustce głuchej. A skoro zamierała nuta lasowa, wyrывało się z puszczy wycie wilka albo hukanie pochutliwe puchacza i przejmowało serce człowieka straszną bojaźnią.

Przychodzień ów tajnią czucia korzył się przed niemyimi wielkodrzewami. Chciał zrozumieć wygłos ich, jakoby zagmatwany i zamazany bełkot niemowy - ażeby w nim znaleźć odpowiedź na niepewność, tajemniczość i kruchość żywota.

Lecz w brzmieniu tym, podnoszącym się z milczenia i odchodzącym w milczenie, wiała nań tylko wiadomość o śmierci nagłej a niespodziewanej. Toteż w trwodze swej wierzył, że w boru tym tai się, kryje i oddycha wiatrem śpiewnym duch wszystkimogący, Świst-Poświst, bożyszczce śmierci.

Przyjacielem mi był za dni młodości tamten pierwszy przychodzień. Lubiłem marzyć, jako się skrada tymi samymi co ja zaroślami, wądołami, w których te same biegną potoki, łaskawością pagórków i niziną mokrych smugów, ażeby polować na bobry brunatne, co na brzegach najszej czarnej rzeki kuliste swe chaty, żeromiona budowały - na puszyste, kasztanowate, wysmukłe i gibkie leśne kuny, których cenne skórki były rodzajem pieniądza - dziesięć na grzywnę - środkiem wymiennym - na niedźwiedzia i wilka, na jelenia i srogiego dzika, co dziesiątkowi kundłów dawał radę, gdy go stanowiły w oparzelisku - na chytrego lisa, na krępego leniwcę, czyściocha i ospalca borsuka i na sępa siadującego w widłach największego drzewa w Łysicy. Lubiłem marzyć, jak z kopami skór kunich na ramieniu przemyka się leśnymi ścieżkami, które sam jeden zna, ku Tarżkowi u brzegu rzeczki Świśliny, na skraju lasów, gdzie już do puszczy docierają z dawna karczowane jednolite pola sandomierskiej urodzajnej gliny. Tam to na targowisku starodawnym, jak pamięć ludzka zasięgnie, myśliwce i kłusownicy, ludzie leśni, ludzie dzicy, ludzie waleczni spotykali się z ludźmi z polan i równin pustych, z pól i niw, którzy siali żytnie i pszenne ziarno, mełli mąkę i umieli szczepić na dziczkach owoc smakowity. W zamian za skóry kunie, borsucze i niedźwiedzie, za wilczury i bobrowe kołnierze dostawali kowane żelazo i rzemień wyprawny, mąkę i sól, słodki owoc i wypalone naczynie.

Tam także słuchali wieści o innych światach niż świat czarny. Słuchali wieści o mężach dziwnych, co w Żmigrodzie wznoszą kamienną bożnicę, wodą naród pracowity polewają i uczą miękkih zabobonów. Ludzie puszczy chętnie opuszczali targowisko na Tarżku i szli nazad ku góróm. Witali las radośnie, gdy się z góry najwyższej spadem nagłym osuwa w zimnej doliny otchłisko niczym chmura gradowa. A gdy po jego błękitnych przegubach we wnętrzu ciemnym, dla oczu niedosięgłym, obłok biały piął się ku szczytowi wyniosłemu, radoowało się bezsłownie serce ich - serce nasze, zawsze to samo serce ludzi puszczańskich.

Kędyś daleko, za Radostową i Kamieniem, w stronie południa było inne targowisko, na wzgórzach, gdzie gródek polskiego króla ludnie wojenni zbudowali. Tam to, w podgrodziu, goście r obcej strony, kupcy przebiegli, mieli na sprzedaż za skóry kunic broń nieczystą i zmyślnie naczynia z żelaza. Z tegoż gródka, na Kielcach wzniesionego, wyszedł węgierski książę Emeryk i poniósł w rękę święty krzyż na Lysiec, gdzie już król polski imieniem Mieczysław a może Bolesław, przewiskiem Chrobry a może Krzywousty - zbudował był kościół niewysoki, gruby, sztuką dawną grecką z kamienia postawiony. Tenże król sprowadził dwunastu braci benedyktynów, pochodzeniem i językiem Włochów, z góry Kassynu, i w klasztorne na Łyscu osadził. Długo szedł korzenistą i piaszczystą drogą książę węgierski Emeryk w towarzystwie biskupa krakowskiego Lamberta, niosąc ze czcią pięć ułamków Krzyża Świętego wprawionych w złoty krzyż o pięciu ramionach. Srogi lud leśny nic ważył się napastować tych bezbronnych pątników. Ciężyla już nad jego samowolą mocna ręka królewska, a ślady władzy tej zostały w nazwach gór: - góra Królewska, góra Książęca. Dopiero teraz, po ośmiu wiekach, podłość zbójów wróciła do swej samowoli. Ody kule wojny zburzyły wieżę kościoła na Świętym Krzyżu, ręka złodzieja wyłamała święte schronienie i zdarła złote blachy ze szczytków Krzyża, a samo święte drzewo cisnęła kędyś między brud ziemi.

Nadszedł był czas, iż książę panujący w Krakowie darował łańcuch gór i błamy lasów krakowskiej biskupiej stolicy. Kasztelanie pobrzeżne w Kielcach i Tarżku stały się ostojami i siedzibami władzy nowych panów tego przestworu. Powstał w Tarżku - z czasem Tarczkiem

przezwanym - dworzec myśliwski biskupi. Tam władcy, którzy niejednokrotnie spychali z tronu królów, zażywali puszczańskich wywczasów. Z gminu nieraz wyrosli, a dzięki cnotom, wiedzy, ogładzie, przebiegłości i znawstwu rzeczy ziemskich, w auzońskich podpatrzonemu krajach, na tak wyniosłe podniesieni siedlisko, stali się dobroczyńcami leśnej ziemi. Tworzyli nowe miasta, jak Kielce i Bodzentyn - wśród dziczy nietrzebionej dźwigali podniebne kolegiaty, wznosili zamki, wzorem włoskim zdobione - jakoby wstęgi wysnuwali z potężnych dłoni mury obronne - napełniali miasta rzeszami sztukmistrzów. Z górnego i środkowego Poniżdzia sprowadzali osadników z siekierą i sochą do trzebień i karczowania skrajów lasu w pobliżu grodu kieleckiego. Dawali wolę ludowi rolnemu w Woli Kopcowej, Radlinie, Górnice, Leszczynach, Woli Jachowej, Napieńkowie. Trzon wyższy długo jeszcze trwał po staremu. Kiedyś dopiero rolnicy podejść bliżej, wyrabiają polany, gdzie białą się Bieliny, ciągną się Porąbki i wgryzą się w samą Łysicę i Krajno, wiszące na skłonie wysokim.

Jak niegdyś niezwycczeni królowie i potężni krakowscy książęta, tak później polowali tutaj rycerscy biskupi - Lambert, Gedko, Prandota, Bodzanta, Florian Jelitczyk z Mokrzka, Paweł z Przemankowa, Zbigniew z Oleśnicy, Gamrat, Zadzik i inni. Otoczeni zdrowym, wyniosłym, zahartowanym w srogim klimacie, potężnym fizycznie, dzielnym i walecznym narodem górskim, gminem szczwaczów, przebiegłych i czujnych śląkowików zwierzca, chytrych, jakoby cuchem psim obdarzonych kłusowników, wśród chartów, ogarów, kundłów na dziki, jamników na lisy i borsuki oraz wszelakiej innej psiarni, roznoszącej po szczytach i dolinach echa wrzaskliwe - przebiegali puszcę odziani w pancerz, z oszczepem i łukiem w dłoni. Walczyli pierś w pierś z włochatym niedźwiedziem, rozjuszonym wilkiem i srogim odyńcem, który, ciapiąc groźnie w stanowisku, szarpał kielcami psy i martwe miotał na strony.

Tam to spoczywał onego dnia, jak głosiła jedna z powieści, potężny Bodzanta na pochyłości matki-góry. Miękki nasuwień, szatę tkaną, wzorzystą miał powierch napiersnych blach.

Zsiadł z konia, runął na ziemię. Skinieniem dłoni odegnał zgraję pochlebców, wesółków, błaznów i wszelakich służalców. Precz kazał zabrać psy na smycze. Z rękoma założonymi pod głowę, z nogami w skórzniach po pachwiny rozwalonymi szeroko, z oczyma zatopionymi w niebie, gdzie białe chmurki sunęły ponad przyplaszczonymi głowicami, leżał na wznak. Słuchał, jak jedle niezmierne pieśń mu wywodzą jedyną, której słuchać warto, albowiem nigdy nie wygasa i na sile nie traci - pieśń o przepotędze i zuchwałych żądach młodości, i o zgniłej rozpaczności starości - o pasjach i furiach ducha rozszalałego. Wołały go ku modlitwie lecącej w niebo, gdyż przesmutnym wzdychaniem swoim trwożę poznania wszechrzeczy rzucały w jego sumienie. Wspominały mu lata minione - odpłynione, których nie wróci nikt, nigdy. Wspominały mu tajnice grzechów, w których był skowany jako kłodnik w ciemnicy. Nikt o nich nie wiedział nic, jeno te drzewa. Pobudzały go, ponęcały i powabiały ku czemuś in-szemu, nieznanemu. Przyciskał do serca swego pienie ich biskup Bodzanta poprzysięgając je najmocniejszym zaklęciem, ażeby jeszcze śpiewały...

W ten to leśny kraj, jeszcze bezludny i nie zabudowany, dziedzinę biskupich łowów, gdzie synowie boru snuli się na wzór zwierząt, tropiąc i zabijając zwierzęta oraz śmiałków, którzy by z jakimkolwiek towarem ośmielili się ciągnąć korzenistym, piaszczystym i mokrym szlakiem z podgrodzia w Kielcach ku podgrodziu Bodzentyna - przybyli jednak nieustraszeni ludzie i między świętokrzyskimi zbójcami właśnie obok starej drogi na dobre zasiedli. Byli to anachoreci, benedyktyńscy eremicy. Pobudowali sobie małe domki z pniów jodłowych, które wicher z ziemi wyrwał i na trawę obalił. Wyszukiwali miejsca przy wodzie - ten ci przy źródle burzliwym i kipiącym wieczyście, tamten przy strumieniu, co migoce w słońcu, mieni się, połyskuje i błyszczy, a trzeci jeszcze niżej, nad potokiem zarośniętym tarniną, kalinami i gąszczem leśnych malin, gdzie srokosze kują swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukułka zabawia się w chowanego.

Domki ich do dnia dzisiejszego przetrwały, zamienione na przydrożne kapliczki, gdy eremitów nie stało, pamięć o nich wygasła i gdy już nikt nie wie, nie pamięta, nie rozumie, czemu

to tutaj właśnie stoją te puste chatki boże. Owocześni przybysze nie lękali się niczyje j napaści, gdyż nie posiadali nic zgoła, co by się dało zrabować. Pustelnicy ci prowadzili życie ostre wstrzymując się po lat kilka, w największe nawet święta, od pokarmów mięsnych, niełatwo przyjmując, i to czasem tylko -jałmużnę. Służyli ludziom ciągnącym tymi stronami poprzez Kamień Kraiński czy brzegiem rzeki - za przewodników i udzielali noclegu zbłąkanym we wielkich lasach. Pierwsi też pewnie rozmawiali z myśliwcami i osadnikami o tajemnicy bytu i śmierci.

Gdy pierwszy anachoreta, pono Włoch rodem, przybył w tę puszcę ciemnozieloną, szum jedlany wspominał mu pewnie niebo południa, widok Kampanii neapolitańskiej, błękitne wyspy w błękitnym morzu, widzialne jako skupienia mgły z góry Cassino - albo zachylenie ziemskie najwdzięczniejsze na ziemi, gdzie morze w ląd się wlewa obok Santa Margherita Ligure - ul mnichów. Wspominał mu srebrzystość drzewa oliwy, co spływa ku szkarłatom róż w dole, róż, co wydają ze siebie Santa Rosa Mystica - ku drzewom czereśni i migdału, różowiejącym i bielejącym za dni marcowych. Posepnicza i żal ogarniały duszę człowieka z tamtych kwietnych i wonnych krain, a dziki urok lasu północy obcy mu był i wrogi. Lecz siła ducha i niezłomna wola kazała w umartwieniu i modlitwie szukać lekarstwa na posepnicę i żal. Nad jego chatą ciemnozielona puszcza szatański zawodziła świst-poświst i wypędzała go stela. Toteż, gdy nie było już dlań powrotu, uciekał w górę, wyżej, coraz wyżej, ponad żądze cielesne, ponad naturę ludzką, ponad naturę anielską., do wyciągniętych objęć Człowieka-Boga.

Być może, iż jeden z tych to anachoretów, co polskiej był krwi i mowy, a szedł z rodu ludzi dostojnych, mówił do zgromadzenia ludzkiego zrozumiałym polskim językiem owo kazanie o świętej Katarzynie, które jest najdawniejszym zabytkiem pisanym tej starej mowy. Istniał-li już wtedy kościółek ku czci tej świętej wzniesiony między eremami? Darowany najprzód zakonowi bernardynów, a później zakonowi sióstr bernardynek - przetrwał stulecia. Siostry zakonne nauczyły lud okolicznych wsi czytać i pisać, robót ręcznych i rzemiosł. Zasadziły za klasztorem swym ogród ozdobny, gdzie lilie najcudniejsze na ziemi zakwitają w czerwcowe niedziele, ażeby zdobić ołtarz wielkiej męczennicy Katarzyny - i gdzie wychylały się ponad mur wysoki kwitnące drzewa jabłoni. Potok w łożysko ujęty ze szmerem przelewał swe wody wskroś ogrodu, a wielki, ciemny las trzymał w swym łonie ten rozkwitły wirydarz.

Lecz stare bóstwa domowe, leśne i polne nie pomarły. Strzygi i zmory, kostusie i morzyska siedzą u progów, w węglach i na poddaszach. Zły hasa drogami, czatuje na krzyżowych i wałęsa się wokoło domostw. Mór w złe czasy wlecze się kolejami dróg, choć mu je zagrażają osinowe krzyże. Wiara nie do wytrzebienia, głucha, ciemnonocna, leśna, swoja, skrycie ciągnie się wsiami, koleinami, co teraz wdarły się aż pod szczyt Radostowej i na samą przełęcz Kamienia, co rozsiadły się, jak Klonów lub Psary, na wyrąbanych polanach boru. Grasują wciąż jeszcze czarownice, cioty i widmy, latają na szczyt Łysicy po tajemnicze zioła, rzucają urok i sprowadzają nieszczęście. Odczyniają wszelkie choroby i uroki nieomylni, rodowici wróże, lecząc starymi sposoby - zamawianiem według formuł dawnych, niezrozumiałych, na podstawie splotów włosów, kawałków odzieży z wisielca, widełek nietoperza, mchu z krzyża na rozstajnej drodze, wody wrzącej, węgla lub chleba.

Przyrosły czary nowe. Gdy stary zakonnik, kapelan u Świętej Katarzyny, w czasie podniesienia dźwigał na wysokość oczu ciężką złotą monstrancję i wśród błękitnych dymów kadzidla patrzył w ciżbę ciasno w kościółku stłoczoną - chowali się jeden za drugiego i kryli twarze w dłoniach starzy „chłopcy” świętokrzyskich wiosek, co ta na sumieniu mieli przecie niejedno. Mówili bowiem szeptem najstarsi, że wtedy stary brat Kazimierz przez Przenajświętszy Sakrament widzi każdą zbrodnię ludzką jak na dłoni. Strach wielkooki szedł między chłopcy.

A któż ciebie wypowie, co moc twoją uprzytomni, pieśni-potęgo: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny -zmiłuj się nad nami!” - gdy ją ze siebie wyrzucali tłumem, gromadą, wsiami, wtłoczonymi w odwieczny, grubomury, niski, mały kościół Świętej Kata-

rzyny! Prośli się po chłopsku, nisko, u kolan Boga - „Od powietrza, głodu, ognia i wojny - zachowa j nas, Panie! - My grzeszni Ciebie Boga prosimy...”

Nie wyprosili się od wojny! Przyszła sroga i straszna. Srozsza i czterokróć dłuższa niż samo Powstanie. Jakoby gradowa burza przelatywała z kołatem i łoskotem ponad górami wysokimi i nad niskością chałup.

Przychodziły z siekierami podłe Austriaki, żeby ciąć głucho lasy, których nawet bury Moskal nie ważył się tykać. Lecz obroniła się dzika strona swymi wyrwami, kamienistością dróg, wąwozikami górskimi z pieca na łeb, po których nawałnica swego czasu wody puszcza. Nie dosięgły Łysicy!

Przyszła znowu na swe miejsce Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru Świętej Katarzyny na koszary konnicy, jak to było w ich planie, i nie przyłożył Austriak siekiery do korzenia lasów. Stoi oto wciąż dom boży. Widać ze wszęch stron białą jego wieżę w dolinie fiołkowej od lasów, co z dała i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakoby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowie. Oko przybiega z obszarów i spoczywa na jego białym kształcie, a wyrzeźbiony w źrenicy - zachowuje w sercu na zawsze.

Żyj wiecznie, świątnico, ogrodzie lilii, serce lasów! Przeminięły nad tobą czasy złe, zlane ludzką krwią. Ciągną inne, inne. Lecz któż może wiedzieć, czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekiera-mi, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakie bądź bytoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: - nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jelen chodzi- jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności.

Puszcza jest niczyja - nie moja ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!

Na probostwie w Wyszku

Podczas srogiego deszczu, który lał, w istocie, jak z cebra, pomknął z pustych ulic Warszawy automobil należący do Oddziału Drugiego Inspektoratu Generalnego Armii Ochotniczej, dając w swym wnętrzu schronienie przed ulewą prof. Ferdynandowi Ruszczycowi, p. Adamowi Grzymale-Siedleckiemu, p. Modzelewskiemu wraz z jego aparatem kinematograficznym, niżej podpisanemu oraz dwu szoferom. Papiery podrózne wyznaczały kierunek na teren operacyjny frontu północnego. Skacząc, jak piłka, po kamiennych bulwach przedmieść Pragi, doskonały pojazd wydostał się na szosę radzywińską, na ów niepozorny szlak, co przed dwoma tygodniami ścigał na siebie oczy całej Polski, a nawet oczy całego świata. Miałem już być zaszczyt poznać tę drogę przed dwoma dniami, wśród podrygów sroższego rodzaju w automobilu ciężarowym wraz z korespondentem pism francuskich, p. Genty, p. Irzykowskim, Pilarzem i Mierzyńskim, bez dotarcia do zamierzonego celu, gdyż popsuta rurka motoru udamremniła wówczas wyprawę. Ślad krótkotrwałych walk można było dostrzec tuż za ostatnimi umocnieniami z drutu i szeregiem rowów na pobrzeżu lasów, a przed szerokimi błotnymi rozlewiskami: wzdłuż traktu ciągnęły się ciemne znaki schronów ziemnych równoległe i symetrycznie wykopanych przez żołnierzy bolszewickich. Raz wraz przerywały jazdę popsute mosty. Gdy jeden z takich byłych mostów wypadło objechać, zbaczając z traktu na łąkę, automobil zarznął się w rozmiękle od ulewy pastwisko i w oczach, niemal, coraz głębiej zapadał. Trzeba było opuścić jego suche wnętrze i podczas najzacieklejszej nawałnicy windować ciężkie pudło do góry. Na szczęście żołnierze, zatrudnieni przy naprawie mostu, przyszli z pomocą panom szoferom. Zapadnięte koła, przy użyciu lewara, który los szczęśliwy tam zesłał, wydobywano z błota i podsuwano pod nie deski, aż cały samochód wydzwignięto na grunt stalszy. Nim jednak o nastąpiło, ulewa przemoczyła nas wszystkich do szpiku kości. Stojąc wśród mokradła, mieliśmy wrażenie, iż sami na wzór samochodu, w topiel się zanurzamy. Nieskończone wozy trenu, oddziały konnicy i piechoty, ciężkie automobile ze sprzętem wojennym, pojazdy wracające z rannymi utrudniały dalszą drogę, gdy już stanęliśmy znowu na bitym trakcie. Gdy wreszcie ruszyliśmy dalej, dosyć zgodnym chórem, mimo przekonaniowych różnic, szczękaliśmy zębami. Wkrótce ukazał się Radzymin ze zgliszczami w środku rynku jeszcze dymiącymi, z domami poprzewiercanymi od pocisków i cementarną pustką, która legła w zbombardowanych placach i zaułkach. Z Radzymina posunęliśmy się już żywiej do Wyszku. Zbliżając się do tego miasteczka, spostrzegliśmy most na Bugu w stanie opłakanego zniszczenia. Trzeba było przeprowadzić się za rzekę przez most kolejowy, a więc znowu windować samochód po głębokim piasku i przepaścistych wybojach. Gdy wreszcie dotarliśmy do środka miasta, objaśniono nas w wojskowej komendzie, iż generał Józef Haller bawi właśnie na probostwie. Zziębnięci i zmoczeni, postanowiliśmy szukać gościny u proboszcza. Indywidua z nogami gruntownie przemoczonymi i z bielizną, która przejmuje dreszczem za każdym poruszeniem ciała, nie są w stanie przykładać należytej wagi do czci najwyższych dostojęństw, tytułów najbardziej zasłużonych, a nawet w sposób godziwy sza-

nować cudzego prawa do posiadania domu i jego ciszy. Co gorsza, w każdym z takich przemarzaków budzą się niezdrowe i surowo zakazane rojenia o natychmiastowości kielicha tej gorzałki-gdyby nawet był, jak niżej podpisany, wieloletnim i aż do znudzenia wytrzymałym antyalkoholikiem. Na szczęście, drzwi mieszkania proboszcza w Wyszkanie, księdza kanonika Mieczkowskiego, same się gościnnie otwały, gdy zameldowano gospodarzowi ludzi przemokniętych. Zastaliśmy w dużym pokoju, oprócz wiekowego plebana i jego wikariusza, księdza Modzelewskiego-generała Hallera i ambasadora francuskiego, p. Jusseranda. Trafiliśmy właśnie na sam środek relacji kanonika o pobycie w jego domu w ciągu ubiegłego tygodnia „rządu polskiego” z ramienia Rosyjskiej Republiki Rad, złożonego z rodaków naszych-dr. Juliana Marchlewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego i Feliksa Kohna. Trudno było wśród zagadnień tak wysokiego poziomu, jak zmiana rządu, systemu społecznego i natury rządzenia w Polsce, jak wywrócenie do góry nogami całego administracyjnego współżycia warstw społecznych, wyjeżdżać z poziomą prośbą o wyżej wzmiankowany kieliszek kminkówki, a choćby „czystej”. Na szczęście ksiądz wikary, powodowany starą zasadą gościnności, której tak wielkie fenomeny wojny nie zdołały wywrócić, zarządził postawienie przed każdym z nas szklanki gorącej herbaty. Co więcej - w cukiernicy, która, jak ziszczenie pięknego marzenia, z ręki do ręki krążyć poczęła, oczy nasze ujrzały na jawie cukier kostkowy w najlepszym gatunku i okazałej obfitości kawałków. Ksiądz wikary, nie przerywając bynajmniej poważnego dyskursu ambasadora Jusseranda z księdzem kanonikiem Mieczkowskim, zdołał szepnąć nam, przybyszom, do ucha:

- Proszę brać, proszę śmiało!... To cukier p. Marchlewskiego, zostawiony przezeń w popłochu ucieczki...

O, dziwna, przedziwna niekonsekwencjo wszystkiego pod utwierdzeniem! O, śmieszności rzeczy wysokich, gdy nie mogą ustać własną swoją przyrodzoną Potęgą!...

Wejrzawszy na ów cukier, tak doskonały, poczułem się oto nagle jego prawowitym właścicielem i trzy co najgrubsze kawałki wrzuciłem odruchowo, ku zgorszeniu obecnych, do szklanki. Zapijając gorącą herbatę, jak przez sen przypomniałem sobie postać dra Juliana Marchlewskiego. Pierwszy raz widziałem go niegdyś, przed wieloma laty w pracowni bibliotekarskiej Rapperswyłu, w izbie na drugim piętrze, o prastarym, niskim sklepieniu, ciasnej i zapchanej mnóstwem książek, katalogów i rękopisów. Pewnego zimowego dnia przyjmowałem i obsługiwałem, jako bibliotekarz, Różę Luxemburg i Juliana Marchlewskiego. Czyż można było wówczas przypuścić, że w tych niepokąźnych figurach dwójga wywołańców, zbiegów, emigrantów obsługują przyszłą męczennicę spartakowskiej rewolucji, zamordowaną w bestialski sposób na ulicach Berlina przez rozjuszoną ludność, -oraz przyszłego wielkorządcę naszej biednej ojczyzny-krótko, co prawda, sprawującego swą nad nami władzę i, jak dotychczas, w niepokąźnym Wyszkanie. Nasycając się niezrównanym gorącem i zatapiając z lubością w smak bolszewickiego cukru, przypomniałem sobie nadto, że przecież dr Julian Marchlewski to jest mój szanowny wydawca. Posiadam stos jego listów, w których na licznych arkuszach spisane są statuty, umowy, kontrakty co do tłumaczenia pewnych moich pisanin na język niemiecki. Ponieważ, mimo owych statutów i wieloparagrafowych kontraktów, zapewniających mi nie byle jakie korzyści materialne, -mimo iż przekład niektórych utworów został wyczerpany, gdyż nabywca imprezy wydawniczej dra Juliana Marchlewskiego, Petzold, zwracał się do mnie z prośbą o prawo wydania nowej edycji tegoż przekładu - z owych szeroko opisanych i solennie zapowiadzianych korzyści materialnych mam w zysku tylko cenne autografy dra Juliana Marchlewskiego, poczułem się, jak powiadam, prawowitym właścicielem cukru, zostawionego przezeń w Wyszkanie i, na rachunek ewentualnych, da Bóg doczekać, honorariów, wpakowałem do drugiej szklanki herbaty łaskawie podanej przez domowników księdza Mieczkowskiego, nowe trzy kawały bolszewickie. Opity i rozgrzany przypomniałem sobie drugiego z wielkorządców-Feliksa Kohna. Widywałem go na procesie Stanisława Brzozowskiego w Krakowie, jako jednego z sędziów. Postać wywiędła, zniszczo-

na, człowiek jak gdyby ze mgły, o twarzy sympatycznej nerwowego utopisty, -bohater warszawskiego „Proletariatu”. Jeden z tych, których dumne cienie w kajdanach widywało się na zbiorowej fotografii „proletariatczyków” w izbach socjalistów. Trzeciego - Feliksa Dzierżyńskiego - mam szczęście nie znać osobiście. Nigdy nie byłem w promieniu jego jurysdykcji i cieszę się świadomością, iż nigdy nie widziałem ani jego twarzy, ani nie dotykałem ręki krwią obmazanej po łokieć, ani słyszałem wyrazów, z jego ust wychodzących. Wyznaję, iż to imię i nazwisko, wymówione w mej obecności, sprawia na mnie obmierzłe wrażenie duszności i jakby torsji. Ci tedy trzej mężowie, gotujący się w cichym domu ustronnego probostwa do odegrania wielkiej roli na placach, tylekroć przez obcy najazd zdeptanych i w gmachach Warszawy, tylekroć znieważonych przez cudzoziemca byli przedmiotem ożywionej rozmowy. Generał Haller tłumaczył ambasadorowi Jusserandowi na francuski opowieść księdza kanonika. Proboszcz wyszkowski poznał był całkowitą ideologię bolszewizmu z jego strony zasadniczej, dogmatyczno-ideowej, jakby teologicznej, „pryncypialnej”. Ponieważ miał możliwość prowadzenia z trzema dyktatorami i n s p e długich rozmów, zdawał tedy sprawę z ich przebiegu. Pan Jusserand troskliwie notował sobie co ważniejsze szczegóły i najbardziej soczyste wyrzeczenia. Trudno by tu było powtarzać te lokucje i dyskusje na temat wolnej woli, rewolucji, moralnego posłannictwa siły jednostek obdarzonych świadomością i wiedzą dobra, zwłaszcza iż podane z ust do ust mogłyby stracić na prawdziwości i dokładności. Zresztą tyle już razy o tych rzeczach pisano! Przyszli władcy Polski i Warszawy, według relacji wszystkich obecnych, byli otoczeni silną strażą, która z nabitą bronią pilnowała ich kwatery na plebanii, jeździli znakomitym i wytwornym automobilem, jedli i pili doskonale, spali wygodnie. (Zawsze zadaję sobie pytanie, czym też ludzie tego rodzaju zarabiają na to dostatnie życie? Głosząc zasady prawa, opartego jedynie na pracy, sami stoją na poziomie wszystkich zwyczajnych władców, którzy swe stanowiska odziedziczyli lub posiadli na mocy takiej lub owa-kiej intrygi.)

Szyby okien na probostwie były powybijane przez kule. Stojąc przy jednym z tych okien i przez dziurę w szkle patrząc w cichy ogród, dziwiłem się, ile to w tym zaciszu w ciągu krótkiego czasu dokonało się przemian. Ludzie, o których była mowa, jakby żywe kształty abstrakcyjnych idei, przychodzili i odchodzili, przeciągali przez to mieszkanie, przynosząc ze sobą istne kłęby inwektyw, skarg, marzeń, złudzeń, obłąkań - mówili o tyranii, krzywdach, morderstwach, torturach, przekleństwach i śmierci w rozpacz, nie spostrzegając wcale, iż sami wdrapują się na tę samą wyniosłość, wyslizganą przez męczeńskie kolana i że zemsta cierpiących wpycha im znowu w ręce berło tyranii...

Któż to byli ci trzej goście, którzy w tych izbach mienili się rządem polskim? Czy ich lud polski wybrał, czy ich ktokolwiek na tej ziemi mianował? Lud polski, czy naród polski, tak rozumiany, jak to jest w ich zwyczaju, nie naznaczał żadnego z nich na godność, którą sobie wybrali. Naznaczeni zostali przez kogoś z wyższa, w obcym kraju, w swym zespole, w swej partii. Jako takich można by ich nazwać tylko komisarzami w znaczeniu, jakiego ten wyraz nabrał w opinii ludowej polskiej podczas długoletniej działalności komisarzy „p o k r e s t j a ń s k i m d i e ł a m”, za poprzedniej inwazji carów moskiewskich na ziemię polską. I tamci stawali przecie w obronie ludu polskiego wobec ucisku szlachty. Tamci także opierali pomoc swoją dla chłopów polskich na nieprzeliczonej ilości bagnatów. Jedna tylko różnica: tamci komisarze nie byli z naszego rodu. Krew polska nie płynęła w ich żyłach. Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyprowadzili na nasze pola, na nasze nędzne miasteczka, na dwory i chałupy posiadzicieli, na miasta przywalone brudem i zdruzgotane tyloletnią wojną - obcą armię, masę, złożoną z ludzi ciemnych, zgłodniałych, żądnych obłowienia się i soldackiej rozpusty. W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwalili. Na ich sumieniu leżą zgwałcenia przez dzicz sołdacką naszych dziewcząt i kobiet. Na ich sumieniu leży zniweczenie nie zasobów i skarbów materialnych, bo te mają wartość względną i mogą być powetowane, lecz zniszczenie zabyt-

ków przeszłości, unikatów, pamiątek po pradziadach, ojcach, dzieciach, potłuczenie kulami witraży i dzieł sztuki, bezmiernym trudem artystów wykonanych w kamieniu, drzewie, metalu, malowideł i tworów ludzkiego marzenia, utrwalonych w opornym materiale, które rzesza ciemna z moskiewskich rozłogów tutaj przygnana zdruzgotała, rozkradła, uszkodziła i uniosła, a które już nigdy ludzkich oczu cieszyć nie będą. Są bowiem przedmioty nie zbytku, lecz czystego arcyzmu, które mają wartość wyższą, niż wszystko, które winny być niedotykalne, niedostępne, ponieważ mówią do nas z wieczności o wieczności, zamkniętej w nas samych. Za zniszczenie tych przedmiotów ci komisarze są odpowiedzialni. Oni to te wszystkie pisma, druki, zabytki i rzeczy sztuki podali do rąk nic nie wiedzącego motłochu.

Zachodzi pytanie, jakim się to mogło stać sposobem, że, jak niegdyś carscy komisarze, tak obecnie sowieccy komisarze, znaleźli drogę do naszych miast i wsi, do naszych kościołów, domów i skarbów sztuki? Jakim się to stało sposobem, że zarówno tamci, jak ci, to tu, to tam znaleźli posłuch u naszego ludu? Trzeba to wyznać otwarcie i bez osłony, że lenistwo ducha Polski, cudem z martwych wskrzeszonej, ściągnęło na tego ducha batog bolszewicki. Polska żyła w lenistwie ducha, oplątana przez wszelakie gałgaństwo, paskarstwo, łapownictwo, dorobkiewiczostwo kosztem ogółu, przez jałowy biurokratyzm, dążenie do kariery i nieodpowiedzialnej władzy. Wszystka wzniosłość, poczęta w duchu za dni niewoli, zamarła w tym pierwszym dniu wolności. Walka o władzę, istniejąca niewątpliwie wszędzie na świecie, jako wyraz siły potęg społecznych, partii, obozów i stronnictw, w Polsce przybrała kształty monstrualne. Nie ludzie zdolni, zasłużeni, wykształceni, mądrzy, których mamy dużo w kraju, docierali do steru władzy, lecz mężowie partii i obozów, najzdolniejsi czy najsprytniejsi w partii lub obozie. Jak po spuszczeniu wód stawu, ujrzelśmy obmierzłe rojowisko gadów i płazów. Gdy to dostrzec mógł każdy na widowni publicznej, w głębiach pozostało to samo, co było za dni niewoli. W samym Królestwie żyje ogromna armia ludzi bezrolnych i bezdomnych. Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego z roku 1914, opracowany pod kierunkiem Władysława Grabskiego, obecnego ministra skarbu, mówi (str. 60): - „kategoria ludności, zwanej bezrolną, stanowiąca warstwę robotników rolnych, wyrobników wszelkiego rodzaju i służbę, ludność pochodzenia włościańskiego bez roli i fachu... stanowiła w r. 1901-18,1 % wśród ludności wsi i miasteczek. Ludność bezrolna we wsiach tylko w okresie czasu od roku 1891 do 1901 wzrosła od 13,2% do 17,2% ludności wiejskiej”. To nie sto tysięcy parobków mających bądź co bądź pracę, zarobek i legowisko w czworakach, lecz półtora miliona (wówczas, w r. 1901) mieszkańców błąkało się wśród naszych wsi i miasteczek, żyjąc z dnia na dzień na komornym, nie mając gdzie by głowę skłonić. Wówczas 500 000 ludzi chodziło rokrocznie na roboty sezonowe do Niemiec, a przemysł fabryczny odciągał ze wsi i osad znaczną ilość bezrolnych. W przeciągu dziewiętnastu lat dorosło nowe pokolenie wydziedziczeńców. Emigracja sezonowa zatamowana jest przez powojenny stan rzeczy, a przemysł fabryczny nie istnieje. Cóż uczyniliśmy dla tego olbrzymiego narodu bez roli i dachu, przykutego do roli, dla tych komorników, wyrobników, dla tego najistotniejszego proletariatu, którego pełno jest w naszych wsiach i miasteczkach, gdy mieliśmy ręce rozwiązane z pęt niewoli i możliwość czynienia, co chcemy? Oto do nich przyjechali w goście trzej komisarze wyszkowscy! Daremne były głosy, żeby szerokie, wieczyste, najbardziej nowoczesne i najbardziej w owoc wydajny bogate prawo do ziemi postawić w pierwszym dniu nowego świata pracy we wskrzeszonej ojczyźnie. Nikt nie wysłuchał tych głosów. Gdyby nie było na ziemiach w jedno złączonych, przez los szczęśliwy nam danych, tych rzesz bez roli, które na miliony się liczą w samym tylko Królestwie, które do ziemi są przykute, gdyż odejść od niej nie mogą nigdzie, w prawo ni w lewo - chyba w głąb ziemi tej, w mogiłę ziemską- jakże by był do naszych drzwi znalazł drogę nieprzyjaciel, co walkę o dolę bezrolnych i bezdomnych za hasło swoje wypisał na sztandarze? Nie zostały wysłuchane głosy, ażeby na sztandarze Polski nowej wypisane zostało hasło nie niższe od bolszewickiego, lecz wyższe, świętsze, sprawiedliwsze, mądrzejsze, ponad śnieg bielsze. Śmiano się z głosów tych. I oto teraz na ostrzu bagnetu Chińczyka, w

świście nahajki Kozaka, wśród turkotu kulomiotów, nastawionych przez Łotysza przeciwko niewinnej, najzaciejszej w Polsce krwi, przeciwko krwi młodzieńczej, miało się nam objawiać nowe prawo, narzucone z zewnątrz, prawo wyższe, głębsze i sprawiedliwsze, niż nasze. Stał między nami i tym wojskiem z zewnątrz przychodzącym wielomilionowy bezrolny i bezdomny lud i miał między ojczyzną i przychodniami wybierać.

O, Polacy! Niech wasze ręce składają się do modlitwy, albowiem ci bezrolni i bezdomni Polkę wybrali. To nic, że tam i sam ten i ów poszedł z rozpaczą za wrogiem. Cały bowiem lud polski poszedł w bój za ojczyznę. Opasali się pasem żołnierskim nędzarze, którzy na własność w ojczyźnie mają tylko grób, i z męstwem, na którego widok oniemiał z zachwytu świat, uderzyli w wojska najeźdźców. Od krańca ziemi polskiej do drugiego krańca, gdziekolwiek brzmi nasza mowa, jeden się podniósł krzyk: niech żyje ojczyzna! Alboż nie było tak? Alboż nie widział świat tego nieopisanego zjawiska? Zapomniane zostały wszelkie czyjejkolwiek winy i, jak Grecy pod Maratonem, zniweczyliśmy wroga. Kto w chwili najazdu Moskali na kraj stawał do obrony swego pałacu, dworu, domu w mieście, swej posiadłości, mieszkania pełnego mebli, obrazów i pamiątek, swej chaty na działku ziemi, zagrody i dobytku, swej posady i stanowiska-wiedział, czego broni, broniąc ojczyzny. Lecz ten, kto nie posiadał nic zupełnie, stając do obrony ojczyzny, nie wiedział, o co walczy. Bronił przyszłego dobra w ojczyźnie. Bronił dóbr cudzych, bronił nietykalności pałacu, szczęśliwego prosperowania dworu, praw do komornego z domu w mieście, bronił mieszkań, których nigdy nie widział i nie zobaczy, bronił wreszcie władzy, która jego samego depce częstokroć bezlitosną stopą. Włościanin, posiadacz ziemi, jest jak krzak przy drodze. Wróg go może nadepnąć, kopnąć, poszturchnąć, obłamać jego pędy i pręty, lecz sam krzak przydrożny wnet puści nowe pławmy, odrośnie i z wiosną świeżymi liśćmi zazielenieje. Człowiek bezdomny jest jak źdźbło nawozu karmiące zboża, jarzyny, owoce i zieleń krzaków, trawy i kwiaty najbardziej urocze. Powinno mu być obojętne, kto go w ziemię woruje, kto go depce i kto soki zeń wypija. Jeżeli ten nawóz społeczny, który my deptaliśmy, tak samo jak nasi poprzednicy we władzy nad nim-Moskale i Niemcy - ujął karabin i pospołu z panami, z mieszczaństwem, z inteligencją, z gospodarzami na roli i robotnikiem fabrycznym wyruszył na wroga, w boju krwią ociekał i zwycięstwo pospołu z innymi wywalczył, to ten jego uczynek chyba nas wszystkich obowiązuje. Nie ochłap łaski, nie nagroda za przelaną krew mu się należy, lecz oddanie wszystkiego, co jest w jego ojczyźnie. Należy podźwignąć się z lenistwa ducha. Ta sama krew ofiarna i na zawsze dla nas święta, co wytrysła na polu bitwy pod Warszawą z serca bohatera narodu, księdza Skorupki, płynęła strugą z ran bezimiennych polskich żołnierzy, bezrolnych chłopów. Musimy teraz na tę krew się powoływać, wzywając naród polski do wielkich społecznych reform, albowiem ci rycerze za przyszłość Polski polegli. Precz z reakcją! Rzucajmy, ludzie wolni, kamieniem potępienia na wszystkich pismaków, co do reakcji wzywają lub wzywać będą, co chcą niedolę proletariatu bezrolnego ukryć przed narodem, zbagatelizować, zasłonić frazesami! Rzucajmy kamieniem potępienia na piastunów urzędu, którzy by reakcję wdrażać w życie nasze usiłowali! Teraz jest chwila, kiedy Polska może się wydzwignąć z pęt odwiecznych! Musimy teraz czynami naszymi przekonać świat, zmusić go do uznania prawdy, iż idee, w których imię umierali nasi żołnierze w walkach z armią czerwoną, stały stokroć wyżej od praw, ukutych w ciasnym zespole oligarchów Moskwy, które nam ona chciała narzucić. Jeżeli jeszcze nie wcieliliśmy ich w życie, to nosimy ich obrazy w duszach. Musimy niezbitymi dowodami odeprzeć opinię, jakobyśmy byli narodem panów i szlachty, krajem obskurantyzmu, jakoby nasza armia była „białą armią Piłsudskiego”. Świat pracy na zachodzie i na wschodzie, w Anglii, we Francji, we Włoszech, w Ameryce, i w samych Niemczech, i w samej Rosji, musi przyznać, iż nieprawdą jest, jakoby Polska była zandarmem burżuazyjnej Europy, niosącym na ostrzu swej broni klęskę postępu świata. Nie możemy dopuścić do tego, żeby pokonanie czerwonej armii na polu bitwy w obronie granic naszej ojczyzny, w obronie naszego ludu zjednoczonego w szczep jednojęzyczny, nierozdzielny,

nierozzerwalny, wieczyście samowładny, w obronie naszej mowy i wolności stanowienia praw własną wolą i dla samych siebie - stało się tryumfem warstwy bogaczy, panów, posiadzicieli, a klęską ludzi ubogich i pogwałceniem szybkości postępu świata. Pokonawszy bolszewizm na polu bitwy, należy go pokonać w sednie jego idei. Na miejsce bolszewizmu należy postawić zasady wyższe odeń, sprawiedliwsze, mądrzejsze i doskonalsze. Trzeba ruszyć z posad Polskę starą, strupieszalą, gnijącą w jadach, którymi ją nasycili najeźdźcy. Sierpniowa burza, która swymi piorunami strzaskała tyle głów junackich, oślepiła na wieki tyle oczu harcerskich, w jamę mogiły pchnęła tyle bohaterskiej energii, musi oczyścić nasze powietrze, zatrute wyziewami podłości. Po okrzyku: - do broni! - gdy pokój stanie, powinien się rozlegać od krańca do krańca okrzyk równie skuteczny, jak tamten: - do pracy! Jakież to ogrom roboty! Jak nieobeszłe

! morze potrzeby! Stracone Mazury, stracona Warmia, Pomerania, Śląsk Cieszyński! Na Pomorzu stoją puste szkoły, znakomicie pobudowane przez Niemców, a nie ma w nich nauczyciela, który by dzieciom kaszubskim w języku polskim nauki udzielał. I odwraca się od nas Kaszuba. Nie jesteśmy w stanie wybudować trzydziestu kilometrów kolei z Kościerzyny do Wejherowa dla zdobycia własnego dostępu do morza, gdy nędzny Gdańsk zdradza nas, napada i znieważa. Wewnątrz kraju, gdzie tylko spojrzeć, wszystko popsute, obniżone, zgnębiające. Tyfus, czerwonka, wszy, brud, niechlujstwo, brutalstwo, kradzież, przedpotopowe obyczaje, praplastowskie zabobony, zniszczone drogi, popalone mosty, na stacjach kolejowych, jak w chlewach, w wozach dla ludzi bestialskie walki o miejsce stojące. W dobie gdy młode rycerstwo polskie szło po nocy w bój z Warszawy, w Warszawie paskarz najspokojniej podnosił cenę chleba...

Na odgłos strzałów, rozlegających się za Bugiem, dr Julian Marchlewski, jego kolega Feliks Dzierżyński, pomazany od stóp do głów krwią ludzką, i szanowny weteran socjalizmu Feliks Kohn - dali drapaką z Wyszkowa. Pozostał po nich tylko wielki swąd spalonej benzyny, trocha cukru, oraz wspomnienie dyskursów, prowadzonych przy stole i pod jabłoniemi cienistego sadu. Przed wyjazdem dr Julian Marchlewski powtarzał raz wraz melancholijnie:

Miałeś, chłopie, złoty róg, Miałeś, chłopie, czapkę z piór, Został ci się ino sznur...

Jak w wielu innych rzeczach, tak i tutaj, niedoszły władca mylił się zasadniczo. Złotego rogu Polski wcale w rękę nie trzymał. Czapka krakowska również mu nie przystoi. Jeżeli jakiś strój, to już chyba okrągła, aksamitna czapeczka moskiewska, obstawiona wokoło pawimi piórami prędzej mu będzie pasowała. Tę już do końca życia nosić mu wypadnie. Nawet do biednego sznura od polskiego złotego rogu nie ma prawa ten najeźdźca. Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyzuł z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem, ni miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej nie ma dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła. Złoty róg Polski trzyma w rękę z przepotężnej swej siły młode narodu pokolenie. I zadmie weń lada dzień, lada godzina pobudkę nową, nową pieśń życia, od której rozradują się kości pradziadów, dziadów i ojców, rozraduje się młoda krew, co za tej burzy sierpniowej spłynęła z ran w biedną polską ziemię. (1920)

wg Stefan Żeromski, Pisma polityczne, POLONIA, Londyn 1988, s. 45-52